CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

Uniwersytet Gdański Biblioteka
02015

NUMER 19 (76) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN, DNIA 11 MAJA 1947 ROKU ROK III

EGON NAGANOWSKI

Kontrabanda niemieckiej historii

Wszelkie zasadnicze zmiany w życiu jakiegoś narodu zmuszają go tak czy inaczej do rewizji swych zapatrywań na przeszłość, w której teraźniejszość spoczywa in potentia niby dziecko w kołysce. Z tej prawdy wyrosła np. ciekawa kontrowersja między Marią Dąbrowską („Tydzień" nr 22) a Celiną Bobińską („Odrodzenie" nr 113) na temat „przewietrzania historii".

Jeżeli nawet u nas zaczyna się dziś odczuwać potrzebę rewizji dziejów, to o ileż żywiej powinni uznawać tego rodzaju konieczność nasi zachodni sąsiedzi. Można by sobie wyobrazić, że druzgocąca klęska skłoni Niemców do szczegółowego zbadania przyczyn, które sprowadziły tak żałosne dla nich skutki, że będą się starali dokonać rachunku sumienia, począwszy od zamierzchłych czasów swego narodowego bytu.

Otóż jest rzeczą charakterystyczną, że niczego podobnego jeszcze nie widzimy. Uczciwe podejście do przeszłości jest bowiem we współczesnych Niemczech w dalszym ciągu tak rzadkie, że ginie w powodzi pseudorewizjonizmu względnie antyrewizjonizmu historycznego i nie posiada z tego powodu — przynajmniej jak dotąd — większego znaczenia. Musi dojść do tego przekonania każdy, kto spojrzy nieco głębiej i nie da się zwieść pozorom, wcale zresztą częstym i gorzej lub lepiej zachowanym.

Modny sos.

Cóż z tego, że roi się np. od krytycznych naświetleń hitleryzmu, że jedni oskarżają mieszczaństwo, junkrów i Reichswehrę, a drudzy winią klasę robotniczą za słabość, brak zdecydowania i skłócenie, kiedy enuncjacje tego rodzaju dążą z reguły do usprawiedliwienia narodu niemieckiego jako całości i noszą charakter rozgrywek partyjnych, mających jedynie pogrążyć przeciwnika.

Typowym przykładem może tu być znany historyk i publicysta marksistowski **Juergen Kuczyński**. W swych pismach, z których zwraca przede wszystkim uwagę wydana niedawno broszura pt. **„Monopolisten und Junker—Totfeinde des deutschen Volkes"** („Monopoliści i junkrzy — śmiertelni wrogowie narodu niemieckiego" Berlin 1946) oraz obszerna **„Geschichte der Lage der Arbeiter in Deutschland"** („Historia położenia robotnika w Niemczech" Berlin 1946) Kuczyński pragnie wprawdzie przewartościować zasadnicze kryteria, którymi kierowała się dotychczasowa historiografia niemiecka, ale czyni to jedynie po to, by wykazać, że szerokie masy poczciwych chłopów i robotników niemieckich były gnębione i zwodzone przez garstkę reakcjonistów i krwiopijców. Na tych ostatnich spada też m. in. wyłączna wina za rozbiory Polski, prześladowanie jej mieszkańców, odbieranie im ziemi, wyniszczanie w obozach koncentracyjnych itp. Z prac Kuczyńskiego wynika jasno, że przeciętni Niemcy doznawali nie mniejszych cierpień od narodów podbijanych i okupowanych, i że wypada ich przeto żałować w takim samym, jeżeli nie większym stopniu. Tak oto **jesteśmy świadkami kontynuowania nacjonalistycznej legendy uniewinniającej, podanej dla odmiany w nowym, modnym sosie.**

Inwektywy „postępowego" profesora.

Prawdziwe zamysły współczesnych historyków niemieckich rzucają się jeszcze wyraźniej w oczy gdy spojrzymy na innego cenionego autora marksistowskiego, a mianowicie na **prof. Alfreda Meusela.** Ogłosił on w styczniowym i lutowym numerach „Taegliche Rundschau" (Berlin) cykl długich artykułów pt. **„Kampf um die nationale Einheit in Deutschland"** („Walka o narodową jedność w Niemczech"), w których dla doraźnych celów (konferencja moskiewska) i pod płaszczykiem socjalistycznego „przewietrzenia historii" od średniowiecza po dziś dzień, broni zacięcie nacjonalistycznych bogów niemieckich. Z iście Goebbelsowską gwałtownością i zjadliwością rzuca inwektywy na dawnych władców poszczególnych dzielnic i państw niemieckich za to, że... niedość strzegli całości i jedności Rzeszy i że jako reakcjoniści występowali przeciwko centralnej władzy cesarskiej (o „reakcyjności" tej ostatniej ani słowa).

Meusel nie omieszkał też zacytować wśród „odstraszających" przykładów niemieckiego rozbicia „niesławnego" sprzymierzenia się Saksonii i państw południowo-niemieckich z Austrią przeciwko Prusom w roku 1866. Biedne Prusy! „Napadła" na nie szajka reakcjonistów w austriackich i saskich mundurach i tyle. Ładna rewizja historii — nie ma co mówić! Meusel broni jedności Niemiec cytatami z Bismarka (!) i uważa twierdzenie, że dotychczasowe okresy jedności były okupywane podeptaniem swobód obywatelskich za legendę, puszczoną w obieg przez zdrajców wielkiej niemieckiej ojczyzny, a więc oczywiście wstrętnych wstecznków. Tak jakby cesarscy czy pruscy jednoczyciele byli wcieleniem postępowości. Po tym wszystkim nie zadziwi fakt, że Meuzel pała nienawiścią do „ongiś niemieckiego, obecnie szwajcarskiego" (jak się z przekąsem wyraża) historyka i myśliciela **Wilhelma Roepkego,** który piętnuje w dziele pt. **„Die deutsche Frage"** (Zagadnienie Niemiec) nie tylko pruski centralizm, ale i nacjonalistyczny imperializm wszechniemiecki w każdej postaci i w każdym przebraniu.

Przeraźliwa logika.

Jeżeli udamy się z kolei do obozu niemieckiej prawicy, zwróci naszą uwagę większa praca krytyczna starego, narodowo-mieszczańskiego uczonego pt. **„Die deutsche Katastrophe"** („Niemiecka katastrofa" Wiesbaden 1946). Trzeba przyznać, że **Meinecke** zdobywa zrazu nasze zaufanie. Krytyka niemieckiego mieszczaństwa, która ani w wieku XIX ani potem nie umiała znaleźć drogi do mas robotniczych i nie oparła się kuszeniom wszechniemieckiej ideologii egoizmu narodowego, krytyka nadmiernego unitaryzmu, dalej machiawelizmu i politycznego dyletantyzmu Hitlera, jego nienawiść do demokracji, niezależnego sumienia ludzkiego i chrystianizmu, wreszcie trafne ujęcie rozdziału „Czy hitleryzm ma przyszłość", gdzie Meinecke widzi główne niebezpieczeństwo w niemieckim dążeniu do życia w masie, otwierającym drogę wszelkiej demagogii — wszystko to pozwala nam przypuszczać, mimo podejrzanych miejscami poślizgnięć i luk, że znaleźliśmy w sędziwym historyku jednego z niewielu sprawiedliwych, którzy wypowiadają odważnie nieprzyjemne prawdy, by pchnąć swych ziomków na demokratyczne i pokojowe tory. Ale gdy przypatrzymy się lepiej, a szczególnie, gdy dojdziemy do rozdziału pt. „Drogi do odnowy" nasze iluzje rozwiewają się jedna po drugiej.

Meineke myśli przede wszystkim o tym, by uratować możliwie dużo z przeszłości, ze swego mieszczańsko-narodowego światopoglądu. Okazuje się ostatecznie, iż mieszczaństwo niemieckie mimo swoich błędów nie jest właściwie winne temu, że Hitler doszedł do władzy. Stało się to w dużej mierze przez „demoniczną siłę osobowości" i wskutek różnego rodzaju... przypadków. Szerokim rzeszom niemieckim daje autor w ten sposób jeszcze jedną okazję do zrzucenia ze siebie odpowiedzialności Wbrew wywodom w innych miejscach książki okazuje się też nagle, że Fryderyk II (nazywany niezmiennie Wielkim) i Bismarck oraz ich dzieła zasługują na miano osobistości i poczynań wysoce tragicznych (?). Po tym osobliwym stwierdzeniu nie zaskoczy nas pointe'a: Meinecke jest zwolennikiem „oczyszczonej" (?) idei narodowej, silnej państwowości, „kocha" państwo Bismarka, podziwia rozrost Prus i mimo uprzedniego potępienia militaryzmu uważa za prowadzenie powszechnej służby wojskowej przez Boyena za „wielki czyn historyczny". (!) Zgodnie z tym „nawet dziś" nie traci nadziei, że pewnego dnia „niemiecka suwerenność wojskowa" (Die deutsche Wehrhoheit) zostanie odrestaurowana dla „usprawnienia młodzieży" (zur Ertuechtigung der Jugend). Prawdziwa droga do odnowy to „zaprawdę błogosławione zlanie pierwiastków narodowych i socjalistycznych". A więc **narodowy socjalizm redivivus!**

Czyż trzeba cytować dalej? Nie wiadomo, co u Meineckego podziwiać bardziej, czy brak logiki, czy przeraźliwą logikę niemiecką, która niezależnie od punktu wyjściowego na każdej drodze dochodzi zawsze do jednego jedynego celu. Jest charakterystyczne, że „Niemiecka katastrofa" spokała się z wielce naogół życzliwym przyjęciem ze strony krytyki i to tak katolickiej, (Frankfurter Hefte, recenzja pt. „Początki rewizjonizmu") jak też lewicowej (Aufbau), podnoszącej „dobre, dobrze odważone i sprawiedliwe słowa" Meineckego oraz jego „idealistyczną uczciwość".

Mit fascynacji czyli polowanie na kozły ofiarne.

Nie tylko na przykładzie Meineckego możemy obserwować narastanie mitu o zniewalającej, usprawiedliwiającej pośrednio „biedne bezsilne ofiary" osobistości Hitlera. Również zmarły na początku br. w Waszyngtonie historyk niemiecki **Veit Valentin w „Geschichte der Deutschen"** (Historia Niemców) poświęca „niemieckiemu geniuszowi demagogii" osobny rozdział, starając się zgodnie ze znanym powiedzeniem niemieckim o osobistościach, które tworzą historię, („Maenner machen Geschichte") wytłumaczyć „demonicznym" Hitlerem wszystkie nieszczęścia i zbrodnie niemieckie. Uczeni niemieccy odbywają obecnie istne polowanie na kozły ofiarne, na które można by złożyć całą winę i wybielić w ten sposób nie tylko Niemców współczesnych, „szczerych" demokratów, ale i dawniejsze „dobre jeszcze" pokolenia.

Taką próbą jest też broszura **prof. Fischer-Balinga** pt. **„Feindesring um"** (Dookoła wrogowie" Berlin 1947), która widzi tylko jednego winnego w osobie Bismarcka. On jest wyłącznie odpowiedzialny za to co potem nastąpiło, przed nim byli tylko tacy dobrzy Niemcy jak Goethe lub Luther, którzy służyli światu swym idealizmem.

Jako wiele mówiące curiosum przytoczę wreszcie książkę **dr Ferdynanda Friedensburga pt. „Die Weimarer Republik"** (Republika weimarska, Berlin 1946). Dowiadujemy się stamtąd, że i narodowy socjalizm nie był wcale taki zły. Winę ponoszą raczej jego przeciwnicy, którzy nie dopuścili go wówczas do współudziału we władzy i przez to zmusili do rozwinięcia nadmiernej propagandy, uczynili go dopiero na dobre totalistycznym. Naziści byliby się na demokratyczną modłę ustatkowali (!), gdyby znaleźli się w koalicyjnym rządzie. (!)

Żart, ironia i głębsze znaczenie.

Nie należy jednak sądzić, że nawet tak ułamkowy, tendencyjny pseudorewizjonizm nadaje dziś ton w Niemczech. Odzywają się nie mniej liczne głosy, zwracające się w ogóle przeciwko wszelkim próbom rewizjonistycznym, względnie nadające im wielce osobliwy charakter. Podobnie jak w dziedzinie odpowiedzialności, gdzie Niemcy poza wyżej zaznaczonymi chwytami lansują zdanie, że inni są tak samo winni, jak oni, oraz uciekają z lubością w sferę filozoficzno-mglistych spekulacji, (p. omówienie kilku publikacji niemieckich wydanych w Szwajcarii: Aleksander Rogalski „Przegląd Zachodni" luty br.), tak też w odniesieniu do dziejów używają rozmaitych sposobów, mających wykazać względność historycznych ocen i kryteriów wogóle.

Pozornie humorystyczną, ale w istocie poważną — u podłoża każdego żartu leży zamysł na serio — próbą dyskwalifikacji historii, której sąd może być w danej chwili dla Niemców przyjemny, jest np. artykuł niejakiego A. H. zawarty w „Berliner Hefte" (nr 1 z br.) pt. „Rozważania heretyka". Czytamy tam: „Jedno jest pewne: historię pisz i przekazują potomności zwycięzcy i odpowiednio do tego też wygląda". Dalej „Dopiero przy końcu bijatyki (wojny) okazuje się kto był winien, że do niej doszło. Dziwna zbieżność: w nowszej historii... winnymi są zawsze zwyciężeni i to z tą samą wyłącznością, z którą papieże są Włochami. Każda historia jest tendencyjna, tym bardziej tendencyjna, im więcej pozorów obiektywności chciałaby sobie nadać. Jej główne zadanie polega na uświęceniu zdobytego stanowiska... Zwycięzca ma zawsze rację — zwyciężony jest skazany na wieczne milczenie...".

O pokoju pisze nasz „heretyk": „Pewien błąd myślowy jest dość rozpowszechniony: jakoby pokój był stanem normalnym. Tymczasem pokój w ogóle nie jest stanem a jedynie przerwą w walce, okresem konferencji, podróży ministrów i udzielania zapewnień... — czasem przyjemnym bezsprzecznie, ale — jak się rzekło — odgrywającym rolę interludium." Potem otrzymujemy taki obraz wybuchu wojny: Pewnego pięknego dnia... rozlega się hasło „Lejgo a zdrowo!". Patriotyzm kwitnie i wskutek tego dochodzi do strzelaniny. Zaczyna się umieranie na całego. Po obu stronach danych granic narastają masowe groby. A biedne dygocące barany rzucają się w ogień, stają się bohaterami z chwilą śmierci na polu chwały. Wszystko to trwa tak długo, aż pewnego dnia — równie niespodzianie i bez głębszej racji — cała heca się kończy i zaczyna się pokój."

Uważam, że **istotny sens powyższych kpiarskich wywodów może być tylko jeden: zatarcie granic odpowiedzialności za wojnę.** Nikt nie jest odpowiedzialny za to co się stało, nikt — więc oczywiście Niemcy ani więcej ani mniej niż inni. Że uwagi autora nie są przy tym rzucone ot tak sobie w „bezsens dziejów", lecz odnoszą się konkretnie do obecnych czasów, widać najlepiej z następujących zdań: „Teraz rozpościera się np. całun ciężkiej zimy nad Niemcami, podczas gdy dla innych narodów zakwitła wiosna... Ale wolnego, przyjaciele! Nie zwieszajmy głów!" Niebawem wybuchnie bomba atomowa i glob nasz ziemski wyleci w stratosferę.

Wreszcie jeszcze coś na temat historii. „Ci którzy parają się historią, przypominają owe czcigodne rodziny, które mają kiepski zwyczaj wyciągania raz po raz swej brudnej bielizny i przepierania jej na oczach publiczności." Nie trzeba chyba wskazywać na to, że w ostatnim cytacie kryje się wyraźny morał dla współczesnych Niemców.

Biały kruk czy jaskółka?

Z tej zmowy pozornego rewizjonizmu z wyraźnym antyrewizjonizmem wyłamuje się jak dotąd jedna jedyna bodajże książka, wykazująca śmiało i uczciwie współodpowiedzialność całego narodu niemieckiego za straszliwą katastrofę, która wstrząsnęła Europą i światem. Chodzi o **„Der Irrweg einer Nation — Beitrag zum Verstaendnis deutscher Geschichte".** „Bezdroża pewnego narodu — Przyczynki do zrozumienia niemieckiej historii" Berlin 1946) **Aleksandra Abuscha.** Lewicowy ten autor, który przepędził wojnę w Meksyku, łączy dialektyczno-materialistyczną metodę badawczą z głębokim humanizmem i iście nie-niemieckim objektywizmem. Występuje nie tylko przeciwko zachłannemu prusactwu, junkrom, militaryzmowi, tchórzliwemu mieszczaństwu, Fryderykowi II, Bismarkowi, Wilhelmowi II, czy Fryderykowi Nietschemu, ale nicuje też niemiecki romantyzm, oskarża klasę robotniczą i obóz demokratyczny o inercję i grube zaniedbanie, nie waha się zaliczyć Lutra (NB. bronił go niedawno Tomasz Mann) do „grabarzy niemieckiej wolności".

I Abusch pokłada wprawdzie nadmierne nadzieje w niemieckim proletariacie, ktory jako jedyny może jego zdaniem dźwignąć znów sztandar sprawiedliwości i wolności, ale to nie umniejsza jego rzetelnej, owianej gorącym pragnieniem odnowy, książki. Naród niemiecki — powiada autor — musi być bezlitosny wobec siebie, musi na nowo poznać swą historię, aby zerwać z przeszłością, która jak zmora zawisła nad każdym swobodnym ruchem niemieckich pokoleń.

Zachodzi teraz pytanie, czy Abusch jest jedynie przysłowiowym białym krukiem, czy też jaskółką, która nie czyni wprawdzie jeszcze wiosny, ale przecież ją zapowiada. Jedno jest pewne, Niemcy muszą wszyscy inaczej spojrzeć na swe dzieje, o ile chcą przebudować swą psychikę, a przede wszystkim wychować w nowym duchu młode pokolenie. Sądzę, że jak najbliższe kontakty historyków całego świata z historykami niemieckimi mogłyby wydać dobre owoce. Również przed naszymi uczonymi stoi odnośnie tego zagadnienia poważne i odpowiedzialne zadanie. Mamy tu bodajże więcej do zrobienia niż inni. Może to być jednym z istotnych wkładów do dzieła demokratyzacji i reedukacji Niemiec o którym się tyle mówi, a co do którego mało kto ma jasne i konkretne wyobrażenie.

Trzeba przekonać naszych zachodnich sąsiadów, że niemiecką Klio należy sumienie zrewidować na granicy ery demokratycznej, że trzeba usunąć z jej bagaży wiekowe fałsze i dynamit, który chciałby przeszmuglować dla przyszłej dywersji. Uczciwość „celników" ma tu podstawowe znaczenie — uczciwość uodpornienia na najbardziej nęcące łapówki nacjonalizmu i rewanżu.

Egon Naganowski

GÓRNICY

Bohaterzy nowych czasów. Grupa wyróżniających się w pracy górników, wchodzących do windy na kopalni mikulczyckiej.

W Rydułtowach w powiecie rybnickim istnieje szkoła rzeźby w węglu, kierowana przez znanego rzeźbiarza Konarzewskiego. Na zdjęciu jedna z rzeźb wykonana przez uczniów szkoły. Nazwa rzeźby: Głowa górnika.

MARYLA CZERKAWSKA

WROCŁAW

Ulica Powstańców Śląskich

Oderwane od pnia słoneczne gałązki
obsuwają się blednąc po czerwonych gruzach
i na jezdni zrdzewiałe zostawiają plamy.
Wysoko okruch szyby ocalonej błyszczy.
Zagasł. Wychodzi z gęstwiny półmroku
księżyc, kilofem blasku rozwala ruiny,
dygocące podważa bramy.
Chwieją się sztolnie murów
i przeźrocza woda
przez młodziutkie akacje jak przez tataraki
płynie, drąży zwietrzałą płataninę zgliszczy.

Przybysz,
właściciel wracający do sadyby
wchodzę.
Szemrzą cieniutkie strumyczki
oblatujących tynków.
Spękana cegła gada do podziemi.
Szumi zieleń słowami starej kantyczki
konarom podaną melodię korzeni.

Zaś mury się prawują o ważność istnienia
resztką dachu, ułamkiem fasady.
Wneki zieją ciemnością
jakby z warg rozdartych
miarowo wyrzucały poczerniały refren
staroniemieckiej ballady.

Zakwilił ostrzegawczo puszczyk.

Prześlizguje się wąż samochodów,
łuskami świateł trąca brzeg uroczysk.
Świetlików chmura padła na tymiany
i już się wieków dziesiątek przetoczył,
gusłem przeszłość rozluźnił.
Od równin podglebnym oddechem domostw,
pomrukiem drzew u zasypanych studni, —
zbóż falowaniem gdzie było przejść najtrudniej
podchodzi wiew.

Księżyc obraca w dłoniach
liście klonów,
wyciąga modrzewiowe tramy,
żytniane powrósła.
Zawiesza wieńców miłosnych zawiązki
nad śpiewną wodą i budzi szepty.
— — Rozkwita kąpalnej nocy jasność.

Na ulicy Powstańców Śląskich,
w słowiańskiej puszczy
biorę Wrocław na własność.

Kościół św. Krzyża

Uniesiony ujarzmiasz mnie, porywasz.
Murami wspinają się oczy
po ostateczny szczyt, strzelistość
grotem wbitą w niebo — — nie zboczę.

Jakbym przechodziła życie własne
klujący wieniec splot za splotem,
zgubiła się i odnalazła
oparta o piastowski gotyk.

Od fundamentów, profili filarów
podążam — jeszcze w zdarzeń szumie —
Rosnę Tobą. Nad ruiną miasta
uniesiona jak Ty — rozumiem.

EUGENIUSZ PONIATOWSKI

Filomaci, **gestapo,** żołnierze

Zorganizowany najazd wojsk hitlerowskich na Polskę i zagarnięcie ziemi Śląskiej uważane było w oczach Berlina i przywódców brunatnych koszul za ostatni etap włączenia tych ziem w organizm państwa niemieckiego. Kłamliwa propaganda hitlerowska usiłowała całemu światu wytłumaczyć, że ludność ziemi śląskiej wyczekiwała już od dawna na przybycie władz niemieckich. Nie będziemy się jednak zastanawiać nad tym, jaki procent mniejszości niemieckiej w Polsce, karmiony hasłami przemycanej propagandy III Rzeszy, dążył do oderwania Śląska od Polski. Zdaniem naszym — winę za to niech ponoszą minione rządy i władze administracji publicznej, które nie umiały ukrócić swawoli mniejszości niemieckiej w naszym państwie. Faktem jest jednak niezbitym, że wtargnięcie wojsk niemieckich na Śląsk i okupacja tej ziemi wywołały natychmiast w sercach i umysłach Ślązaków bunt przeciwko najeźdźcy. Liczne bowiem organizacje polityczne, które powstały i działały tajnie na terenie Śląska zapisały się w historii tej ziemi równie pięknie, jak i inne pokrewne im na pozostałych terytoriach okupowanej Polski. Podobnie akcja sabotażowa górnika i hutnika śląskiego przyczyniała się każdego dnia i każdej nocy do niszczenia potencjału wojennego hitlerowskich Niemiec. W ślad zaś za starszymi w walce konspiracyjnej z okupantem podążała również młodzież śląska, osiągając dobre wyniki w pracy.

Poniżej drukujemy drobny przyczynek do historii młodzieżowej konspiracji na Śląsku.

MAGICZNY TRÓJKĄT

Spośród licznych organizacji młodzieżowych, działających konspiracyjnie na terenie Śląska w okresie okupacji należy wymienić także zespół młodzieży na terenie Nowego Bytomia i Nowej Wsi. Na wiosnę 1940 r., a więc w kilka miesięcy po wtargnięciu Niemców do Polski, w małej grupie młodzieży gimnazjalnej w wieku lat od 16 do 18 padło postanowienie założenia tajnej organizacji pod nazwą „Kuad-dowe-jaka" (znak K. D. J. w trójkącie). Założycielami tej organizacji byli: A. Kudlek (pseudonim John), W. Dąbrowski (Dick), K. Janecki (Charles). Stąd też organizacja ta przyjęła od pierwszych liter nazwisk jej twórców dziwnie brzmiącą nazwę Kuad-Dowe-Jaka. Pierwszymi, którzy wstępują do K. D. J. są: Pietruszka (Roni), L. Brzeziński (Edd) i A. Buchalik (All). Następnie wstępują H. Androsz (Raul), W. Kucharczyk (Wik), A. Klosek (Holmes) i Wieczorek (Sherlock).

W początkowej swej działalności klub K. D. J. organizuje zebrania w domach prywatnych członków, gdzie prowadzi pracę samo-kształceniową i kulturalną. Oprócz zadań związanych z programem szkolnym, według którego kształcą się poszczególni członkowie, przygotowują oni specjalne referaty z Dziejów Polski i zagadnień społecznych. Omawiają szeroką literaturę polską, poświęcając najwięcej czasu epoce romantycznej. Wymieniają między sobą zdania na tematy polityczne, zbierają zasłyszane wiadomości radiowe i dyskutują nad nimi. **Pierwszą „pracą dla Polski", jak mawiali członkowie organizacji, było podtrzymywanie ludności śląskiej na duchu.** Dlatego też największą uwagę poświęcają w tym okresie czasu rozszerzaniu wiadomości politycznych. Pragnąc zaspokoić głód literatury polskiej, przystępują do zbierania książek polskich, które władze niemieckie ostrymi rozporządzeniami wygnały z domów i poniszczyły w bibliotekach. Członkowie organizacji odwiedzają mieszkania swych znajomych i przenoszą książki do siebie, gromadząc je u kilku kolegów. W ten sposób powstaje ruchoma biblioteka w liczbie 500 tomów. Książki te wypożycza się początkowo przede wszystkim członkom Klubu, a potem zaufanym Ślązakom. By móc nadal pielęgnować pieśni polskie, zakazane przez okupanta, organizują wycieczki w pobliskie lasy, gdzie wspólnie przy śpiewie i rozmowach na tematy polityczne spędzają długie godziny.

MŁODZI REDAKTORZY

Kiedy hitlerowskie Niemcy po opanowaniu Danii, Norwegii, Jugosławii, Holandii i Belgii przerwały Linię Maginotta i w ciągu sześciu tygodni pokonały Francję, sytuacja dla sprzymierzeńców okazywała się dość ciężka. Wówczas rodziło się w wielu sercach zwątpienie i drepresja. W sytuacji tej niektórzy zaczynali już stawiać pesymistyczne horoskopy dla naszej sprawy narodowej i politycznej i zwolna poczęli upadać na duchu. Aby przeciwstawić się niemieckiej akcji propagandowej i podnieść ludność polską na Śląsku w wierze w lepsze zwycięskie nasze jutro, powstał w szeregach młodych Kuad-Dowe-Jaka zamiar wydawania tajnej polskiej gazetki. Inicjatorami tego projektu byli: W. Dąbrowski (Dick) i A. Kudlek (John), którzy za pośrednictwem H. Wieczorka (Sherlok) nawiązują kontakt z E. Jadwiszczokiem (Koczsziwdaj) z Nowej Wsi, posiadaczem maszyny do pisania. Grupa ta, utworzywszy komitet redakcyjny gazetki, wciągnęła w swój skład J. Zdziebkowskiego (Wrzos) z Nowej Wsi, który posiadając ukryty odbiornik radiowy, podjął się słuchania audycji zagranicznych, notowania wiadomości i umieszczania ich na łamach tajnej gazetki. Organizacją techniczną „wydawnictwa" zajął się Koczsziwdaj. Dick opracowuje wydarzenia z wojny powietrznej, John — front bałkański i afrykański, Wrzos — wojnę morską i sprawy polityczne. Oprócz tego każdy z członków redakcji miał za obowiązek dostarczanie jak największej ilości wiadomości z terenu i redagowanie aktualnych artykułów politycznych. We wrześniu 1940 r. ukazał się pierwszy numer tajnej polskiej gazetki pt. „Zorza Wolności". Nakład początkowo wynosił 100 egzemplarzy. Połowę nakładu zabierali koledzy z organizacji Kuad-Dowe-Jaka, drugą zaś Wrzos i Koczsziwdaj, którzy zajmowali się kolportażem na terenie Nowej Wsi, Halemby, Bykowiny, Czarnego Lasu, Żywca i Bielska. Pracę powyższą kontynuowali do grudnia 1940 r., w którym niemieckie władze gminne odebrały maszynę do pisania Jadwiszczokowi. Aby nie przerywać wydawania gazetki, postanowiono drukować ją na terenie zakładów „Huty Pokój" w Nowym Bytomiu, gdzie znajdowały się maszyny do pisania. Inicjatorem tego niebezpiecznego i połączonego z wieloma trudnościami pomysłu był Dick, pracujący w rozrywalni huty. By dostać się do pomieszczeń biurowych „Huty Pokój", zrobiono odciski w mydle i podrobiono klucze. Po raz pierwszy w styczniu 1941 r. grupa redakcyjna wraz z G. Bremerem (Strzeleckim), wciągniętym do pracy konspiracyjnej, wchodzi wieczorem na teren pilnie strzeżonej huty i wykorzystując zaciemnienie przeciwlotnicze w biurze rozrywalni, pisze na maszynach tajną polską gazetkę. Z rozpoczęciem wydawania gazetki na terenie „Huty Pokój", otrzymała ona nazwę „Orzeł Biały". Po dłuższych staraniach uzyskania pieniędzy w lutym tegoż roku zakupiono z własnych oszczędności i składek organizacji powielacz dla redakcji. Nakład gazetki wzrasta teraz do 500 egzemplarzy. Dla łatwiejszego i szybszego kolportażu „Białego Orła" Wrzos i Koczsziwdaj wyszukują spośród byłych uczniów gimnazjum w Nowej Wsi kolegów, dając im większe ilości pisma do rozdawania wśród zaufanych Ślązaków.

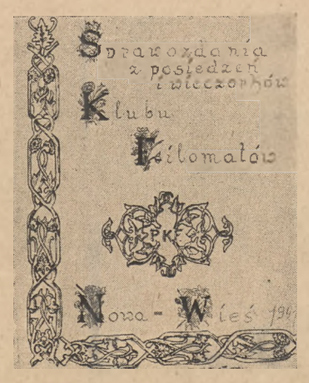

Tytułowa strona księgi protokółów konspiracyjnej organizacji młodzieży śląskiej z okresu wojny.

FILOMACI W SŁUŻBIE ŻÓŁWIA

W czerwcu 1941 r. Dick i John zagrożeni w pracy konspiracyjnej na terenie Nowej Wsi i Nowego Bytomia, musieli opuścić Śląsk, chcąc przedostać się do armii polskiej na Zachodzie. Podczas przechodzenia granicy niemiecko-szwajcarskiej zostali jednak aresztowani i osadzeni w więzieniu w Bregenz. Za próbę nielegalnego przekroczenia granicy skazano ich na 6 miesięcy więzienia. Sprawę jednak organizacji K. D. J. oraz wydawania gazetki udało im się zataić przed prowadzonym śledztwem. Z powodu wyjazdu Dicka i Johna pozostali członkowie K. D. J nie mogli prowadzić nadal wydawnictwa „Orzeł Biały" na terenie „Huty Pokój". Dalsza ich praca poszła jednakże w innym kierunku.

Młodzież, której Niemcy uniemożliwili dostęp do szkół, pragnęła uczyć się dalej. Jako wzór posłużyła jej teraz wileńska organizacja Filomatów. W tym też celu dnia 15 kwietnia 1941 r., jak głosi księga protokołów pt. „Sprawozdania z posiedzeń i wieczorków Klubu Filomatów" P. K. F. Nowa Wieś 1941 r., odbyło się nieoficjalne posiedzenie, na którym wybrano zarząd Polskiego Klubu Filomatów w następującym składzie: prezydent: Jerzy Zdziebkowski, administrator: Jadwiszczok Edek, skarbnik: Kardoliński Bronek, Komisja rew.: Sprung Tadeusz (Podbipięta), Bremer Gerard, Hadula Henryk (Chińczyk). Nieco później doszli jeszcze Helfeuer H. (Iwan), B. Laudowicz (Timoszenko), Porażewski Edm., E. Mercik (Pedro). Dnia 27 kwietnia 1941 r. Zdziebkowski (Wrzos) i Jadwiszczok (Koczsziwdaj) organizują pracę w Polskim Klubie Filomatów. Koło postanowiło w oparciu o samokształcenie rozwinąć działalność polityczną między członkami oraz ożywić zainteresowanie sprawami polskimi na Śląsku. Hasłem klubu było: „Ojczyzna i Nauka", a ułożony statut, który głosił, że „początki Klubu brane są na wzór Adama Mickiewicza", zawierał następujące rozdziały: 1. Cel Filomatów — Ojczyzna, Nauka i Zabawa, 2. Obowiązki członków, 3. Instrukcje, 4. Posiedzenie, 5. O osobistym zachowaniu się, 6. Kary. Członkowie z dwoma palcami na krzyżu przysięgali, „iż czynności Klubu nigdy niepotrzebnie rozgłaszać nie będą, jak i święcie wierzyć w... (wyjaśnienie: w Polskę). Oprócz pracy samowychowawczej opracowano i wygłoszono referaty na następujące tematy: O specyficznym ideale Filomaty, Wspólnota słowiańska, Ucieczka Hessa do Anglii, O karności członka Klubu P. K. F., Nie chodzić na oślep, Kryzysy bojów, Polska i jej dostęp do morza, Anglia i jej kolonie, Nacisk brutalizmu niemieckiego, Praca i czyn i wiele innych. Specjalnym zainteresowaniem na zebraniach cieszył się Kącik P... (wyjaśnienie: Polski), na którym omawiano sprawy polityczne i położenie w Polsce. Organizowano również wycieczki, pożyczano sobe wzajemnie książki oraz udzielano wzajemnej pomocy materialnej.

Oprócz tych działań Klub postanowił przystąpić do bezpośredniej walki przeciw Rzeszy Niemieckiej przez propagowanie i wykonywanie akcji sabotażowej. Godłem symbolicznym tej pracy były rysunki i malowidła żółwia umieszczone po warsztatach Huty Pokój. Systematyczne niszczenie pieców martynowskich przez dodawanie specjalnie zrobionych domieszek powodowało ich unieruchamianie. Ćwiczenia wojskowe w terenie, zapoznawanie się z bronią oraz teoretyczne wykłady, na których korzystano z wiadomości nabytych w Hufcu Szkolnym, umożliwiały dalsze kształcenie wojskowe. Dostarczanie i rozsiewanie tajnych wiadomości radiowych podnosiło na duchu Ślązaków i niweczyło osiągnięcie propagandy niemieckiej. Wspieranie pieniężne, żywnościowe oraz lecznicze (medykamenty) więźniów oświęcimskich umożliwiało wielu ludziom przetrwanie w obozie koncentracyjnym. Wykradanie książek polskich z byłych czytelni T. C. L., z komisariatu policji w Nowej Wsi oraz byłego gimnazjum w Rudzie przyczyniało się do szerzenia czytelnictwa polskiego na Śląsku. Zebrana, około 500-tomowa lotna biblioteczka zaspokajała potrzeby kulturalne wielu Polaków.

W następstwie jednak zagubienia dokumentów osobistych i papierów organizacyjnych przez jednego członka K. P. F. nastąpiło w nocy 7 października 1941 r. aresztowanie wszystkich członków i osadzenie ich w obozie śledczym w Mysłowicach. Wraz z nimi zostali osadzeni w areszcie rodzice Wrzosa, Teofil i Pelagia Zdziebkowscy, którzy pozwalali na zbieranie się młodzieży w ich mieszkaniu, dostarczając tajnych wiadomości radiowych i wiedząc o całej akcji P. K. F., której patronowali. Pelagia Zdziebkowska, organizująca wysyłkę paczek żywnościowych do Oświęcimia, zmarła tamże w marcu 1944 r., a resztę aresztowanych sądzono przez Oberlandesgericht w Katowicach za zdradę stanu. Oskarżeni członkowie P. P. F. oraz sprowadzeni z Austrii z więzienia Dick John skazani zostali na karę więzienia lub obozu karnego od 2 do 5 lat.

KSIĄŻKA i KARABIN

W przededniu wyjazdu Dicka i Johna na Zachód z zamiarem udania się do armii polskiej oddano pod opiekę Edda 500-tomową biblioteczkę. Aby walczyć nadal skutecznie przeciw wzrastającej germanizacji na Śląsku zorganizowano specjalną drużynę, która brała udział w podawaniu polskich książek i zbieraniu nowych. W ciągu trzech miesięcy ruchoma biblioteczka osiągnęła liczbę 2.000 tomów. Pozostali na wolności członkowie K. D. J. wstępują teraz w szeregi oddziałów A. K., prowadzonych przez podporucznika Niedźwiedzia (Tur). Praca organizacyjna przybiera pełny charakter wojskowy. Wywiad, łączność, współpraca z niemieckimi obozami pracy przy Szybie Borkowa. Kontakt z aresztowanymi kolegami K. D. J. i P. K. F. utrzymują łączniki M. Lubosikówna i Ł. Kudlek. Oprócz tego wszyscy członkowie K. D. J. rozprowadzają po terenie Śląska polskie tajne gazetki z tak zwanego G. G., Z początkiem zaś 44 roku zawiązuje się nowy oddział A. K., prowadzony przez ob. Sprawę z Nowej Wsi i następuje fuzja obydwóch grup.

Szczęśliwym zbiegiem wypadków wojennych, niosących z sobą wolność Polsce, członkowie młodzieżowych organizacji śląskich K. D. J. i P. K. F. doczekali się uwolnienia z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Ci zaś, którzy zostali wciągnięci przymusowo do wojska niemieckiego, przeszli na stronę Aliantów i po zwycięskiej wojnie z Niemcami wrócili do kraju.

Eugeniusz Poniatowski.

Przegląd prasy niemieckiej

Berliner Zeitung

Berlin (str. sowiecka.)

Na pewnej konferencji prasowej w Stuttgarcie na pytanie, jak SED odnosi się do sprawy granic wschodnich, odpowiedział Otto *Grotewohl*, że SED nad każdą zmianą granic ubolewa. Granica Odra — Nysa jest przez SED w tym samym stopniu nie uznawana, jak zmiany graniczne na zachodzie. Jeżeli jednak alianci narzucili nam z góry zmiany granic, to wyrażamy usilne życzenie, ażeby przy tym myślano również o żywotnych interesach narodu niemieckiego.

Aufbau

KULTURPOLITISCHE MONATSSCHRIFT

Berlin (str. sow.)

Kto z największym szacunkiem odnosi się do pisarzy i artystów, którzy w roku 1933 opuścili Niemcy w przeświadczeniu, że tylko zagranica zapewnić im może swobodę w kontynuowaniu ich dzieła i że tylko tam będą oni mogli rewolucyjnie, a przez to prędzej i skuteczniej przygotowywać polityczne i duchowe oswobodzenie swej ojczyzny, ten ze wstydem zaobserwuje rozwój wypadków, który zawsze jeszcze znajduje swoich zwolenników: stabilizację nowej emigracji ze względu na lepsze życie poza granicami Niemiec.

Pomijamy tutaj artystów, którzy przez wzgląd na stan swego zdrowia musieli udać się do Szwajcarii. Nie pomijamy jednak tych „nowych emigrantów", którzy dla siebie szukają lepszych warunków. Ani tych, którym sytuacja Niemiec wydaje się zbyt niejasna, ażeby sami mogli zająć stanowisko. Ani tych, którzy czekają za granicą, ażeby może potem wrócić łaskawie do uporządkowanego życia. Ani tych cyników, którzy wprawdzie w nazistowskich Niemczech nie byli aktywistami, ale wszystko dali sobie spodobać, ażeby teraz, gdy nie ma żadnych rozkoszy i gdy już nie można czerpać z żadnych bogactw urojonych, usunąć się — tam, gdzie egzystencja wydaje się pewniejsza i warunki życiowe bardziej uregulowane. Jeżeli tej swojej nowej emigracji podsuwają oni potem jeszcze idealistyczne motywy i mówią, że zagranicą mogą spokojniej pracować i że muszą się niezależnie od nędzy dnia powszedniego wewnętrznie skupiać, ażeby stać się produktywnymi, wówczas zamglenie sytuacji staje się oczywiste.

Nie chcę mówić o listach emigrantów z prawdziwego zdarzenia, którzy we właściwym czasie wyjechali do Moskwy, Zurychu, Paryża, New Yorku albo Sztokholmu, którzy unieśli ze sobą dobrą cząstkę niemieckiej tradycji teatralnej i w ogóle duchowej, artystycznej i naukowej, a którzy teraz z uzasadnionym rozgoryczeniem i bodaj jeszcze z cichą wzgardą piszą o... „Frankli — i Eintopfemigrantach". Z pewnością przekonali się oni, że wyobrażenia ich o życiu zbytkownym były przesadne i z tego powodu czują się na emigracji w chwili obecnej zawiedzeni. To jednak nie może stać na przeszkodzie naszemu zasadniczemu myśleniu. W czasie, w którym każdy uzdolniony i odznaczający się dobrą wolą obywatel jest potrzebny, opuszczają Niemcy. Potrzebują spokojnej pracy? Po co? Czyż nie jest koniecznością stwarzania w Niemczech z niepokoju współczesności warunków dla spokojnej pracy w przyszłości? Właśnie dlatego, że są to duchowe ruiny, które trzeba usunąć, nie wolno nikomu usunąć się na bok. Właśnie dlatego, że Niemcy cierpią biedę, trzeba się do nich przyznawać. Czy ci panowie nie zauważają, że wszyscy oni są zdrajcami tych pisarzy i artystów, którzy wraz z nimi chcieli przetrwać czasy nazizmu w Niemczech, ażeby potem budować lepszą ojczyznę? Czyż nie wyczuwają oni, że nie mają oni w ogóle prawa do życia, jeżeli teraz nie zabiorą się do dzieła i przez współpracę nie wykażą sensu swej działalności za panowania nazizmu? Tak, czasami mogłoby się to wydać beznadziejne — ale właśnie dlatego nie wyzbędziemy się nadziei. Tak, tworzy się nowa reakcja — i dlatego każdy, kto jest postępowo nastawiony, jest potrzebny. Kto w r. 1933 wyemigrował i zagranicą stworzył sobie duchową i materialną pozycję, znajdzie zrozumienie w wypadku, jeśli jej nie chce postradać, jakkolwiek boleśnie odczuwamy stratę każdego poszczególnego. Kto jednak wyemigrował w r. 1945 i nie wraca, sam siebie wyklucza i pozbawia prawa późniejszej współpracy.

(Artykuł Herberta Iheringa w miesięczniku „Aufbau", zeszyt I 1947.)

Der Rundfunk

Berlin (str. sowiecka)

Po dwóch wojnach światowych cierpi świat nie tylko na brak chleba, ale także na brak pewności, że nie czekają go nowe wojny. Te kraje zwłaszcza, które dwa razy stały się w wyniku agresji niemieckiej polem walk, domagają się pewności i bezpieczeństwa.

Aby zabezpieczyć się przeciw wojnie — to znaczy wypowiedzieć walkę siłom koncernów i karteli. Tak jak w pierwszej wojnie światowej, tak samo i w drugiej, *twórcami niemieckiej polityki wojennej byli władcy ciężkiego przemysłu niemieckiego i trustów chemicznych.* Złamanie ich wpływu gospodarczego, a przez to i politycznego na przyszły rozwój Niemiec — oto problem centralny przy zabezpieczeniu pokoju.

Obok karteli, monopoli i trustów istniała w Niemczech druga grupa podżegaczy wojennych, a mianowicie *pruskie junkierstwo.* Stanowili oni nie tylko korpus oficerski dla militarystycznych Niemiec od dni Fryderyka II, ale również stworzyli oni w państwie Hitlera kręgosłup nowozorganizowanego Wehrmachtu. Zabezpieczeniem pokoju będzie więc reforma rolna, zniszczenie siły wielkich posiadaczy ziemskich.

Obok tych dwu sił ponosi odpowiedzialność za nieszczęście Niemiec *narodowy socjalizm.* Pachołki gestapo i SS, którzy zhańbili imię Niemiec w obozach koncentracyjnych i we wszystkich krajach Europy, byli tylko narzędziem ciężkiego przemysłu niemieckiego w jego usiłowaniu zawładnięcia panowania nad światem. Zabezpieczeniem pokoju będzie więc *denazyfikacja* Niemiec.

Wersalski traktat pokojowy, który zakończył pierwszą wojnę światową, wychodził z innych założeń. Dla przedstawicieli ówczesnych mocarstw zwycięskich zabezpieczenie demokracji w Niemczech nie było wcale najważniejszym problemem. Chodziło im przede wszystkim o to, aby umożliwić Niemcom „zdławienie bolszewizmu", jak to zauważył ówczesny prezydent Wilson w jednym z protokółów z dn. 12. II. 1919 r. Dla tego celu nie zmieniono kierowniczych warstw ani ciężkiego przemysłu ani junkierstwa. Dzisiaj podchodzi świat z innych punktów widzenia do traktatu pokojowego.

Wielorakie są nadzieje, jakie wiążą się z Konferencją Moskiewską. Oświadczenie miarodajnych władz wojskowych o zakończeniu demontażu stworzyło dla strefy wschodniej podstawę dla przyszłego rozwoju gospodarczego. Jeśli chodzi o całe Niemcy, to oczekujemy od Konferencji Moskiewskiej ostatecznego ustalenia listy zakładów przemysłowych, jakie mają być zdemontowane.

Również co do sprawy granic oczekują Niemcy od przebiegu układów moskiewskich polepszenia. Oświadczenie Mołotowa na Konferencji Paryskiej, że Niemcy bez zagłębia Ruhry nie będą mogły utrzymać się jako niepodległe i zdolne do życia państwo — oświadczenie to — mamy nadzieję — stanie się wytyczną rokowań. Również zagadnienie Saary wejdzie na porządek obrad w Moskwie i miejmy nadzieję, znajdzie rozwiązanie, jakie będzie odpowiadało interesom Niemiec. *Sprawa granic wschodnich jest wprawdzie przez fakty, jakich Polska dokonała przy realizowaniu postanowień poczdamskich, skomplikowana, ale i tu mamy nadzieję, na rozwiązanie, które uwzględniać będzie życiowe interesy Niemiec.*

W Moskwie również rozstrzygniętą zostanie sprawa wewnętrznego ukształtowania Niemiec. Podczas, gdy rząd sowiecki występuje za jednolitym państwem niemieckim, mocarstwa zachodnie chcą rozczłonkowanie Niemiec czy to w formie państwa związkowego, czy też nawet luźno związanego związku niezależnych państw. Nie tylko ze względów narodowych, ale również i socjalnych, mamy nadzieję na jednolite państwo niemieckie, aby w ten sposób walka o wyzwolenie socjalne nie była obarczona, tak jak było to w przeszłych dziesiątkach lat, zagadnieniami narodowymi.

(Z artykułu „Niemcy patrzą na Moskwę")

HEUTE

München (str. ameryk.)

Wszystkie nowe książki poruszają sprawę niemieckich obozów koncentracyjnych. Nie chcę poddawać dyskusji okrucieństw, jakie tam były stosowane, znamy je bowiem dostatecznie z dzienników. Nie ukazał się bowiem jeszcze żaden taki dziennik, który by kiedyś podobnego artykułu nie drukował. Przyznaję, że powinno nam zawsze pozostawać w pamięci to, co popełniono. Mówi się, Niemcy popełnili zbrodnie przeciwko człowieczeństwu. Chciałbym zapytać: Kto ma odpowiadać za to, co wyrządzono niemieckim uciekinierom z Prus Wschodnich, Śląska i Sudet? Ile musieli ci niewinni ludzie znieść i wycierpieć! Ilu zamordowano biednych żołnierzy, którzy ojczyznę już mieli przed oczyma! Sądzę, że jeżeli kiedyś będzie się pisać książki na ten temat, zbledną okropności obozów koncentracyjnych w porównaniu z tym, co ci ludzie musieli wycierpieć. Co tam się odegrało, to nie zdarzyło się jeszcze dotąd w historii tak samo jak obozy koncentracyjne. Każdy uciekinier opowiedzieć może własne przeżycia, ale niestety ludzie ci nie mają odwagi powiedzieć wszystkiego w obawie, że mogło by im się co stać.

(W notatce tej, która jest listem do redakcji, zamieszczonym w rubryce „Offen gesagt", wychodzi na jaw tupet i bezczelność niemiecka.)

Na skutek licznych próśb Czytelników oddaliśmy do oprawy pewną ilość

kompletów

„Odry"

za lata

1945 i 1946

z dokładnym spisem rzeczy

KOMPLETY JUŻ SĄ DO NABYCIA

Zamówienia prosimy kierować do Administracji „Dziennika Zachodniego" i „Odry" w Katowicach, przy ul. 3 Maja 12 Telefon: 30974 i 35582

Perspektywa Odry

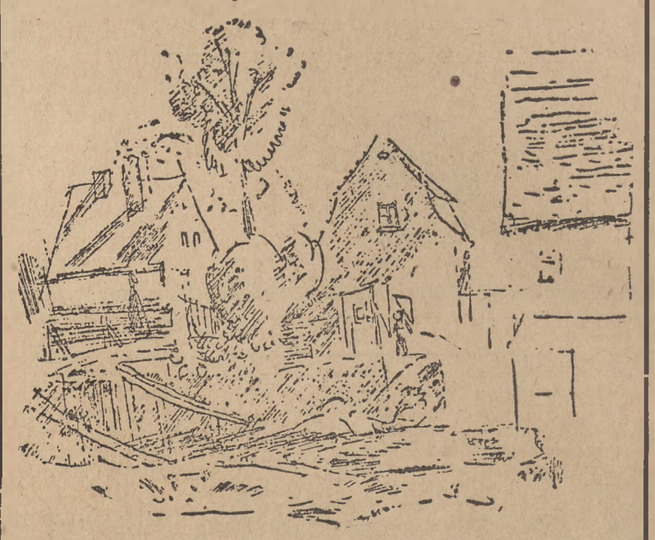

Adam Marczyński: Jelenia Góra.

Na Ziemiach Odzyskanych uprawia się od samego początku proceder rozpijania człowieka. Wszystko, co dobre w człowieku, obraca się w ten sposób w niwecz, entuzjazm zamienia się w szyderczość, praca w lenistwo, miłość w prostytucję, szczęście rodzinne w tragedię, bogactwo w nędzę, uczciwość w złodziejstwo. Rozpicie narodu, o ile w reszcie Polski jest chorobą społeczną, tu na Ziemiach Odzyskanych jest bezprzykładną zbrodnią.

Moglibyśmy zadrukować długie stronice „Odry" tragicznymi przykładami skutków pijaństwa, rozpowszechnionego tu więcej niż w „starym" kraju. Moglibyśmy przedrukować długie statystyki chorób wenerycznych, przybierających z dnia na dzień na sile, przerazić was procentem rzeżączki u kobiet, która prowadzi do bezpłodności, choć tu na granicy Polski winno się rodzić dużo zdrowych, silnych dzieci. Wojewódzki Wydział Zdrowia we Wrocławiu w ulotce pt. „Alarm", którą podpisali starosta powiatowy, ksiądz, inspektor szkolny i przedstawiciele PPR oraz PPS, kilka takich przykładów cytuje. „Mój mąż, inwalida wojenny, repatriant zza Bugu, objął tu gospodarkę, ale wciągnięty przez koleżków, pije do nieprzytomności. Gospodarka upada, pobił parobka, mnie tak pchnął, że złamałam nogę." „Jedyny mój syn, dobry radiotechnik, wpadł w nałóg pijaństwa, po pijanemu okradł fabrykę... Kradzież się wykryła i syn popełnił samobójstwo." „Mój mąż pije od dawna... jako repatriant osiadł tu na gospodarstwie, ale nic się nie kleiło przez tę nieszczęsną gorzałkę, którą fabrykował dla siebie i sąsiadów. Byłam w ostatnim miesiącu ciąży, prosiłam o sprowadzenie akuszerki, ale odmówił, spił się, zamknął mnie na kłódkę i w oborze popełnił gwałt na naszej 15-letniej wychowance... Urodziłam tu nieżywe dziecko." Myślicie, że to specjalne przykłady zwyrodnialców? Statystyki lekarskie i skargi żon oraz matek — jakoś szefowie przedsiębiorstw mniej się skarżą, bo sami piją — stwierdzają, że wódka zmienia ludzi żyjących dotąd najuczciwiej w bezwolne kukły kompanów, w narzędzia wszystkich namiętności.

Na Ziemi Lubuskiej przeprowadzono ankietę wśród chorych wenerycznie. Stwierdzono na podstawie jej wyników, że pijaństwo ma ścisły związek z zakażeniami. Czyż nie są to alarmujące cyfry, jeśli w jednym z gimnazjów żeńskich w pewnym większym mieście Ziem Odzyskanych wenerycznie chorych dziewcząt jest aż 11%.

Pijaństwo jest dla Ziem Odzyskanych wrogiem najstraszniejszym, ponieważ stanowi źródło wszystkich chorób społecznych od kradzieży począwszy a na mordzie „politycznym" skończywszy. Domagamy się w imię zdrowia fizycznego i moralnego człowieka Ziem Odzyskanych, który przecież ma być typem nowego lepszego Polaka, ograniczenia sprzedaży wódki na Ziemiach Odzyskanych i uniemożliwienia dzikiego jej „przemytu" z reszty kraju. Domagamy się surowych kar wieloletniego więzienia dla pędzących bimber, upijających nieletnich, pokazujących się w stanie pijanym na ulicy lub w lokalach publicznych i prowadzących w takim stanie samochody, niektórych pijanych funkcjonariuszy służby publicznej. Domagamy się natychmiastowego zlikwidowania co najmniej połowy rozmaitych jadłodajni, gastronomii, szynków, które pod pięknie brzmiącymi tytułami branżowymi prowadzą ohydny proceder rozpijania narodu, pomagając Monopolowi Spirytusowemu. Walka z bimbrem nie wystarcza, wódka produkowana przez Monopol Spirytusowy jest również szkodliwa, mogą to wyjaśnić wszyscy lekarze. Alarm, który podniósł się tu we Wrocławiu, jest alarmem o naszą przyszłość na Ziemiach Odzyskanych!

Jerzy Szumilas.

●

— Przecież ze wszystkich narodów naszych pono najwięcej — odezwał się stary... — My Polanie rozmówić się możemy i z tymi, co u Odry i co nad Łabą siedzą, i z Pomorcami, i z Ranami na Ostrowiu, i z Serby i z Chrobaty, i Morawiany, i aż do Dunaju... i dalej. A któż policzy... jest nas jako gwiazd na niebie.

— Hm! — mruknął Hengo — i nas też niemało.

— A ziemi też dla wszystkich dosyć — dokończył Wisz... — Każdy u siebie doma, ma czego mu trzeba — ziemię matkę pod nogami, słonko nad głową, wodę w strumieniu, chleb w rękach.

Hengo słuchał milczący.

— Tak ci jest — rzekł — przecie jedni drugich nachodzą — i z głodu, i z chciwości, i dla niewolnika, gdy go zabraknie.

— Dzieje się tak u was — przerwał stary — my wojny nie pragniemy ani w niej smakuiem. Nasi bogowie pokój miłują jako my.

Niemiec skrzywił się.

— Kto wam tu co zrobił? — mruczał — kraj szeroki pustynie — łatwo by wejść ale wyjść trudno.

— Myśmy też — rzekł Wisz — od was się nauczyli bronić i wojować, bośmy tego dawniej nie znali...

(J. I. Kraszewski: Stara baśń)

STANISŁAW ROSPOND

Gospodnie, wysłuszaj modlitwę

W „SCRIPTORIUM“ klasztornym Kłodzka rojno i gwarno. A był to rok Pański tysiąc trzysta dziewięćdziesiąty szósty. A ta izba pisarska mieściła się na „Mons Mariae“, w tej Częstochowie śląskiej, na wyniosłej górze, gdzie rozsiadł się klasztor kanoników regularnych pod wezwaniem św. Augustyna. Pisarze-kaligrafowie na czyściutkim, gładkim pergaminie cyzelują litery: **gospodnie, wysłuszaj modlitwę moję...**; zaś malarze - iluminatorzy wertują stare kodeksy włoskie, niemieckie i czeskie, wyszukując strojnych w różnolite barwy miniatur, by wed.ług ich wzoru nałożyć na pergamin biel, ultramarynę, karmin, cynober i złoto. Pod ich artystyczną ręką ożyje cały świat ówczesnej baśni średniowiecznej.

Praca przeciąga się na następny rok 1397. Nadal skrzypią pióra mnichów, schylonych nad przepisywaniem trzech tekstów „Psalmów“ (łaciński, polski, niemiecki). **„Wywiedziesz z zamęta duszę moję“** — pisze mnich, spoglądając na wyniosłe góry, spiętrzone nad prześliczną doliną kłodzką, przez którą przedziera się rzeka Nysa. W 1398 roku inny zakonnik z pokornym poddaniem się woli Bożej wpisuje słowa psalmisty Pańskiego: **„I stracisz wszytki, jiż mącą duszę moję, bo ja sługa twój jeśm“.** Z początkiem 1399 roku zdenerwowanie nielada ogarnęło „twórców“ tego dzieła. Przyczyna?

Dzieło to — **„PSAŁTERZ FLORIAŃSKI“** przygotowane było dla królowej Jadwigi. Oboje królestwo polscy Jadwiga i Jagiełło zostawali w zażyłych stosunkach z tym zakonem i klasztorem śląskim. Zamyślali ściągnąć braci tej reguły ze Śląska do Krakowa, ofiarując im za siedzibę kościół Bożego Ciała na Kazimierzu. Ale to urzeczywistniło się dopiero w 1405 r .tj. po śmierci królowej. Zakonnicy Kłodzka przygotowali wspaniały dar dla swojej protektorki. Znając rozmiłowanie królowej w czytaniu ksiąg nabożnych, a zwłaszcza w potężnych pieniach Dawidowych (w 1393 r. ufundowała bowiem w Krakowie pierwsze w Polsce „Kolegium Psałtorzystów“), postanowili obdarzyć ją psałterzem. Już św. Kinga miała takowy, tylko nam się nie dochował. W 1399 r. spieszono się z dokończeniem dzieła,

Jedna strona Psałterza Floriańskiego.

gdyż zbliżała się wyczekiwana przez króla i naród chwila rozwiązania królowej. Nieprzewidziana śmierć Jadwigi w 1399 r. zahamowała tę pracę w stanie nie dokończenia. Prawdopodobnie — jak przypuszczał L. Bernacki — zjechała praca ta wraz z kanonikami lateraneńskimi w 1405 r. do Krakowa i tutaj w początkach XV w. kontynuowano to dzieło, ale już nie z takim pietyzmem, jak w Kłodzku. W pracy zdobniczej widać zaniedbanie lub tylko szkice i zarysy.

Hipoteza dyr. Ossolineum L. Bernackiego o śląskim pochodzeniu „Psałterza Floriańskiego“ została misternie skonstruowana na podstawie zagadkowego monogramu, tj. plecionki z podwójnego gotyckiego **M**, pojawiającego się aż trzy razy w „Psałterzu“, a raz nawet obok królewskiego herbu przodków Jadwigi. Jest to po prostu znak, niby herb klasztoru w Kłodzku, powstały ze skrótu **Mons Mariae.** Ten sam znak umieścili zakonnicy na roztruchanie zwanym „scyphus“, który innym razem przesłali w darze polskiej królowej, a ona go później ofiarowała katedrze wawelskiej. Na śląskie pochodzenie tego pomnika średniowiecznego języka i literatury polskiej wskazuje też tekst niemiecki psałterza, który — według prof. A. Kleczkowskiego — posiada cechy śląsko-niemieckie.

Ta rewelacyjna hipoteza Bernackiego rzuca jeszcze jedno światło na **żywe związki kulturalne Śląska z Macierzą w średniowieczu.** Za pierwszych Piastów Śląsk był silnie spojony z Macierzą,zrazu politycznie i kulturalnie, a potem już tylko kulturalnie. W latach przynależności do państwa polskiego Śląsk był „czołem kultury polskiej“. Najdalej na zachód wysunięty jako awangarda polskości najbliższy też był zachodowi, a tym samym szybciej niż inne dzielnice polskie wchłaniał zdobycze kulturalne Zachodu. Za Piastowiczów, zwłaszcza trzech Henryków: Brodatego, Pobożnego i Probusa, którym udało się na pewien czas opanować senioracką dzielnicę krakowską, podnosi się kultura materialna, a z nią i duchowa tej polskiej ziemi. Wytwarzają się tutaj liczne ogniska wiedzy, dowodem choćby wybitny uczony z XIII w. Ślązak **Witelo,** autor „Optyki“, znanej poza granicami Polski. Jeszcze w 1604 r. J. Kepler swoje optyczne dzieło zatytułował: Ad Vilellionem Paralipomena. Liczne klasztory zwłaszcza dominikanów i Franciszkanów troszczą się o język polski. Działo się to nie tylko w interesie kultu, ale według słów statutów synodalnych z 1285 r. **„ad promotionem et conservationem linguae polonicae“.** Na synodzie wrocławskim w 1248 r.postanowiono, aby duchowni po ewangelii odmawiali **w języku polskim** modlitwę Pańską i Wierzę.

Na dowód, że Śląsk w średniowieczu pod względem zapisanego słowa polskiego innym dzielnicom Polski nie tylko nie ustępował, ale i je wyprzedzał, świadczą poniższe fakty: **Pierwsze spisane zdanie polskie** pochodzi ze Śląska (daj, **ać ja pobruszę, a ty poczywaj —** z „Księgi Henrykowskiej“ XIII w.); **pierwsze drukowane słowo polskie** też pochodzi ze Śląska, mianowicie tekst modlitw polskich z 1475 r., wydany we Wrocławiu w „Statuta synodalia episcopi Conradi“. I wreszcie omawiany „Psałterz Floriański“, któremu warto więcej uwagi poświęcić.

Przez 300 z górą lat przeleżał on zapomniany w klasztornej bibliotece opactwa św. Floriana, u kanoników regularnych pod Linzem, w Austrii Górnej. Stąd utarła się nazwa „Psałterz Floriański“. Odkrył go w 1827 r. uczony bibliotekarz opactwa ks. **J. Chmel.** Zainteresowała się cała Słowiańszczyzna tym — jak wówczas sądzono — najstarszym zabytkiem mowy polskiej. (Słoweniec **B. Kopitar,** Czesi **J. Dobrowski** i **Hanka,** Polacy: **J. S. Bandtkie, A. F. Kucharski, Stanisław Dunin Borkowski** i inni). Staraniem tego ostatniego ukazało się w 1834 r. wydanie polskiej części „Psałterza“. Drugie wydanie sporządził w 1883 r. **W. Nehring.** Teraz już uczeni tacy jak **A. Małecki, J. Baudouin de Courtenay, A. Brückner, J. Łoś, W. Bruchnalski** zabierają głos w sprawie pochodzenia, autora, przeznaczenia i pierwotnych właścicieli tego zabytku. Z oficyny drukarskiej Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie wyszedł potężny tom **in folio** o 404 stronicach, przebogato ilustrowany planszami, a zatytułowany: **„Psałterz Floriański łacińsko-polsko-niemiecki.** Rękopis Biblioteki Narodowej w Warszawie. Wydali **Ryszard Ganszyniec, Witold Taszycki, Stefan Kubica...** staraniem i pod redakcją **Ludwika Bernackiego“.** Dzieło ukaże się po latach żmudnych przygotowań i prac, kosztem Zakładu Ossolińskich oraz Sejmu Śląskiego. To pomnikowe wydanie sporządzono z oryginału, będącego od 1931 r. własnością Biblioteki Narodowej w Warszawie, która zakupiła ten zabytek od opactwa św. Floriana. Od 1564 r. był w posiadaniu tego zgromadzenia zakonnego. Poprzednie koleje tego zabytku były burzliwe. W czasie pożaru kościoła Bożego Ciała w Krakowie w 1556 r. skradziono go w zamieszaniu. Jakiś kupiec włoski, który niewiadomo jakim sposobem posiadł go, sprzedał go w 1557 r. Austriakowi **B. Siessowi,** który podpisał się na księdze jako jej właściciel. I wreszcie odarty z pierwotnej okładki i karty tytułowej wrócił do kanoników regularnych, t. zn. do tego zakonu, który go w Kłodzku sporządził. Ci zakonnicy księgę oprawili na nowo i złożyli ją w swojej bibliotece.

Stanisław Rospond

KS. F. GRYGLEWICZ

Ewangelie i dzieje apostolskie po polsku

KSIĘGI *), które na mocy uchwały Soboru Trydenckiego weszły do katolickiego kanonu Ksiąg świętych, powstały pod natchnieniem Ducha św. na przestrzeni czasu od 1400 r. przed Chr. P. do 100 r. po Chr. P. wedle lat najbardziej zaokrąglonych. Przestrzeń zatem czasu mniej więcej 1500 lat, autorów licząc z grubsza, jeżeli to się da w ogóle kiedykolwiek policzyć, ponad pięćdziesięciu (nie licząc w to autorów źródeł i cytowanych dokumentów) — wszystko to sprawia, że rozpiętość zainteresowań pisarzy i sposobów literackiego ujęcia tych kwestii, które wspomniani autorowie - pisarze nam przedstawiają, jest większa aniżeli się tego domyślali przez wiele wieków najtężsi nawet znawcy Pisma św. i większa aniżeli przeczuwają jeszcze dzisiaj zawodowi literaci.

Od najgłębszej filozofii począwszy poprzez prawnicze paragrafy, poprzez dokumenty najściślej historyczne, poprzez opowiadania historyczne, religijne i ludowe, poprzez podanie, alegorię, przypowieść a nawet bajkę, poprzez apologię, proroctwo, wizję, opowiadanie apokaliptyczne aż do najszczytniejszej poezji w najprzeróżniejszych jej odcieniach — oto, co nieświadomie znajdowali w Piśmie św. ci, którzy religijnego i poetyckiego natchnienia dla siebie w Biblii szukali i co zawsze było przedmiotem ciekawości i studiów całego zbioru Pisma św., a nawet poszczególnych natchnionych ksiąg.

Ewangelie św. najbliższe naszemu sercu, gdyż związane z osobą i nauką Chrystusa, stanowią część tego wielkiego zbioru ksiąg Pisma św. Zostały one spisane dla wiernych greckim, ludowym, językiem, tzw. koine, po połowie pierwszego wieku po Chr. P., a więc zaledwie kilkanaście czy kilkadziesiąt lat po śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu P. Jezusa. Jedna tylko Ewangelia św. Mateusza była napisana po aramejsku dla palestyńskich nawróconych Żydów. Tekst jednak aramejski zaginął. Szczęściem już w pierwszym wieku zostało zrobione tłumaczenie z tekstu aramejskiego na język grecki i tym tłumaczeniem Kościół posługuje się jak gdyby oryginałem.

Oczywiście nie dla każdego grecki tekst Ewangelii jest dostępny. Zaszła potrzeba tłumaczeń najpierw na języki starożytne, a w tym na język łaciński, później na nowoczesne. Łacińskie tłumaczenie przyjęte w Kościele jako oficjalnie obowiązujące, tzw. Vulgata, stała się z czasem niezależnie od greckiego tekstu podstawą do dalszych tłumaczeń na języki nowsze, między innymi także na język polski. Tłumaczenie Ks. Jakuba Wujka TJ jest właśnie takim tłumaczeniem.

350 lat od pierwszego wydania tłumaczenia Ks. J. Wujka spra-

*) Z racji nowego przekładu, który w niedługim czasie ukaże się w księgarni św. Jacka w Katowicach.

wiło, że dla wielu, zwłaszcza mniej wykształconych, jest ono mało zrozumiałe. Ks. Arcybiskup Marcin Dunin już w 1837 r. narzekał na to i proponował przystąpienie do nowego przekładu. Zanim jednak znaleźli się nowi tłumacze, tekst Ks. J. Wujka poprawiano zastępując stare, niezrozumiałe już wyrazy, wyrazami nowymi. Dostępne dla nas dzisiaj teksty Ewangelii — jeśli jeszcze gdzie przypadkiem w księgarni jakiś egzemplarz się znajdzie — to właśnie Ks. J. Wujek mniej lub więcej poprawiony zależnie od tego, czy autor-poprawiacz był większym zwolennikiem klasycznego tekstu polskiego czy też polszczyzny współczesnej.

Na czele tych, którzy siły swoje poświęcili nowemu przekładowi św. Ewangelii stoi męczona w Astrachaniu postać Ks. Biskupa-nominata Stanisława Rzewuskiego. Praca jego niestety nie ujrzała dziennego światła. Rękopisy spoczęły u OO Kamedułów na Bielanach pod Krakowem, gdzie swego czasu miałem możność bliżej się z nimi zapoznać.

Przedwcześnie zmarły profesor Instytutu Biblijnego w Rzymie Ks. Władysław Szczepański TJ przez długi czas opracowywał swój przekład Ewangelii, a pracę jego ogłosiła drukiem Polska Akademia Umiejętności w Krakowie. Trzecim zaś z kolei tłumaczem był, też już nie żyjący (ofiara obozu w Dachau) Ks. Edward Grzymała.

Ponadto przy opracowywaniu Polskiej Bibliografii Biblijnej dowiedziałem się, że podobno sławny kaznodzieja ludowy Ks. Stanisław Stojałowski TJ także drukował swój przekład Nowego Testamentu. Nigdzie jednak nie mogłem trafić nawet na ślady owego druku.

Dziś, gdy zarzucono już tłumaczenie i Ks. E. Grzymały i Ks. Wł. Szczepańskiego, pozostał nam tylko mało dostępny i rozmaicie poprawiony Ks. Wujek. Jest to stanowczo za mało. Potrzebne nam nowe tłumaczenie, które by nie usuwało Ks. Wujka. Tłumaczenie Ks. Wujka ma swoje walory i zalety, których na pewno nowemu przekładowi braknie, ma swoją tradycję i zasługi, ma za sobą patynę wieków i to wreszcie, jak słusznie zauważył Ks. Arcybiskup Teodorowicz w liście do Ks. Szczepańskiego, że wszystko ,a nawet braki, błędy i wady kładziemy mu tylko na karb archaizmu starej polskiej mowy, do której jesteśmy tak bardzo przywiązani. Potrzebne nam teraz nowe tłumaczenie w szacie odpowiedniej do wymogów i poziomu dzisiejszego stanu nauki biblijnej i dzisiejszego sposobu wyrażania się. Nowy więc przekład Ewangelii i Dziejów Apostolskich będzie pozycją zarówno biblijną jak i literacką — biblijną, a nawet dogmatyczną, bo wyniki żmudnej pracy biblisty w ostatecznych swych wnioskach są fundamentem dla całej katolickiej teologii, a literacką ze względu na wpływ, jaki przekład Ewangelii może mieć i ma rzeczywiście na kształtowanie się i rozwój naszego języka.

Zabierając się do przekładu tekstów Pisma św. sięgnąłem do greckich, powiedziałbym, oryginałów, choć w rzeczywistości mamy tylko odpisy. Oryginały, które wyszły spod pióra Ewangelistów dawno już zaginęły. Odpisy jednak, a tych mamy do dyspozycji ogromną ilość, są najbardziej wiarogodne, gdyż sięgają drugiego wieku po Chr. P., a między sobą różnią się prawie tylko pisarskimi błędami.

Tłumaczyć z tłumaczenia, w tym wypadku z łacińskiej Vulgaty, gdy mam pod ręką grecki oryginał — uważałbym to za anomalię. Do rąk czytelników trzeba dać tekst najbardziej krytyczny, a Vulgata jako tłumaczenie przy całej dokładności św. Hieronima, który tyle nad nią pracował, wszystkich odcieni greckich wyrażeń dać nie może i nikt tego od niej się nie spodziewa.

Tak na przykład Łk 11, 13 w przekładzie z Vulgaty musi brzmieć: „O ileż bardziej Ojciec wasz z nieba da ducha dobrego tym, którzy Go proszą“, podczas gdy grecki tekst wymaga tłumaczenia: „O ileż bardziej Ojciec, ten z nieba, da Ducha Świętego tym, którzy Go proszą?“

Inne wymagania ma teolog a inne literat odnośnie do ścisłości przekładu. Gdy literat w wielu wypadkach nie przejmowałby się każdym wyrazem, byle tylko spod pióra wyszła rzecz gruntownie piękna (porównaj tłumaczenia Psałterza Kochanowskiego, Karpińskiego i Bujnickiego), ten drugi żąda przede wszystkim dokładności i ma za sobą racje, których lekceważyć nie można. Nie wiele jest wypadków, gdzie wspomniana sytuacja zaznacza się zupełnie jaskrawo. Wszędzie tam jednak, gdzie sytuacja taka zachodzi mniej lub więcej wyraźnie, — nie jestem poetą i uważam, że przede wszystkim trzeba oddać treść dokładnie po polsku. Tej zasady trzymał się **św. Hieronim, literat nie ustępujący w niczym klasykom łacińskim,** gdy z hebrajskiego i greckiego tłumaczył Pismo św. na łacinę; tej zasady trzymał się też Ks. J. Wujek przy pracy nad swoim przekładem z Vulgaty na język polski.

Przy przekładaniu poszczególnych wyrazów w rozmaitych tekstach nie można było się trzymać niewolniczo jednego wyrażenia polskiego. Wyrazy greckie mają przecież tyle odcieni, tak samo zresztą jak i wyrazy polskie!

Przy tłumaczeniu trzeba było się tylko oglądać na teksty tzw. synoptyczne. Zawsze bowiem w pamięci musi tkwić, że to, co pisze jeden Ewangelista, drugi, trzeci, a czasem nawet czwarty opisuje także podobnymi, a często tymi samymi słowami. Jako przykład niech służy wyrwane z kontekstu zdanie trzech Ewangelistów:

Mt 8,32n.

Powiedział do nich:

— Idźcie.

Wtedy wyszli (z opętanych) i wpadli w świnie, a cała trzoda ze stromego brzegu pędem rzuciła się w morze i zginęła we falach. Pasterze zaś pouciekali, a po przybyciu do miasta wszystko opowiedzieli, zwłaszcza o tych, którzy byli opętani.

Mk 5,13n.

On im pozwolił. Duchy zaś nieczyste wyszły (z człowieka), weszły w świnie, a trzoda, w liczbie około dwóch tysięcy, ze stromego brzegu pędem rzuciła się w morze i zatonęła w wodzie. Pasterze pouciekali i opowiedzieli o tym w mieście i po wioskach.

Łk 8,32nn.

On zgodził się. Czarty zaś wyszły z człowieka i wpadły w świnie, a trzoda ze stromego brzegu pędem rzuciła się w wodę i zatonęła. Kiedy pasterze zobaczyli co się stało, pouciekali i opowiedzieli o tym w mieście i po wioskach.

Tekst tych zdań jest podobny, a wyrażenia u wszystkich Ewangelistów te same. Nie można w przekładzie użyć innych wyrażeń u każdego Ewangelisty.

Staranie o to, żeby przekład był zrozumiały i jasny nawet dla mniej wykształconych był punktem wyjścia samego przekładu. Należało więc używać słów zrozumiałych, a nie takich, które trzeba dopiero objaśniać. Zamiast np. wyrazu niezrozumiałego: Chrystus, w wielu wypadkach można użyć wyrazu co prawda obcego, ale takiego, którego treść znają wszyscy: Mesjasz.

Odwrotnie zaś tłumaczenie nazw, na przykład monet, nie jest na miejscu, gdyż wartość jednej nie odpowiada drugiej. Gdy słyszymy, że za całodzienną pracę robotnik ma otrzymać „grosz“, wtedy dziwimy się narówni z tym robotnikiem, który „grosz“ otrzymał. Chodzi zaś w tym wypadku o denara, który miał wartość blisko dwóch złotych przedwojennych.

W związku z tym przypomina się ostra dyskusja, jaką prowadzono na temat archaizowania tekstów biblijnych. Pewnie, że wielu jest przyzwyczajonych do języka Ks. Wujka. „Hebraizmy i greczyzmy nadają Biblii w mowie polskiej odrębne zabarwienie, a przepełnione archaizmami polskimi tchną odwieczną powagą i namaszczeniem niewysłowionem wytwarzając odrębny język, który nazywamy biblijnym“. Niech więc miłośnicy języka „biblijnego“ zachwycają się nadal tłumaczeniem Ks. Wujka. **Gdy słowo Boże ma trafić do umysłów i serc wszystkich ludzi, musi być przybrane w szatę dzisiejszą.** Autorowie natchnieni nie używali przy pisaniu starego języka ani starych wyrażeń, za wyjątkiem może niektórych poetyckich części Starego Testamentu. Przeciwnie, pisali językiem nawet nie klasycznym. Język przez nich używany często jest gorszy od języka innych współczesnych im, a zachowanych do dziś, tekstów; pisali językiem ludowym, ażeby nawet najprostsi ludzie nie mieli trudności przy czytaniu słowa Bożego. Ks. J. Wujek też nie silił się na używanie wyrazów z XIV w. — pisał językiem sobie współczesnym. Niechże więc będzie i mnie wolno używać w przekładzie języka, którym mówię sam i którym mówi całe nasze dzisiejsze pokolenie.

Graficzny układ tekstu ma swoje znaczenie. Nieprzyjemnie działa na nas pełna kolumna, a trudno nam się zorientować w treści, gdy każdy wiersz czy zdanie zaczyna się a linea. Myślę, że wprowadzony przeze mnie już w próbnym wydaniu Ewangelii św. Jana układ powieściowy nie będzie ujmą dla natchnionego tekstu, a raczej ułatwi jego czytanie i do niego zachęci.

Jeszcze kilka próbek nowego przekładu.

Burza na morzu (Mk 4,35—41)

Tego samego dnia z nastaniem wieczora powiedział do nich:

— Przeprawmy się na drugą stronę.

Pozostawili więc ludzi i zabrali Go tak, jak był w łodzi. Inne łodzie towarzyszyły Mu. Wtedy zerwała się gwałtowna nawałnica i fale wdzierały się do łodzi, tak że łódź się już zanurzała. On spał w tyle łodzi na wezgłowiu. Zbudzili Go więc błagając:

— Nauczycielu! Nie troszczysz się o to, że giniemy?

On wstał, wichrowi rozkazał, a morzu rzucił słowa:

— Milcz! Uspokój się!

Wicher uspokoił się i nastała zupełna cisza. Wtedy robił im wymówki:

— Dlaczego się tak boicie? Czy nie macie wiary?

Ich zaś ogarnął wielki strach i mówili między sobą:

— Kimże On jest, że jest Mu posłuszny wicher, a nawet morze?

Przemówienie pisarza w Efezie (Dz. Ap. 19, 35—40)

Wtedy pisarz uspokoił tłum i powiedział:

— Mężowie efescy! Ktoby z ludzi nie wiedział, że miasto Efez jest stróżem czci wielkiej Artemis i (jej posągu), który spadł z nieba? Temu nikt nie może zaprzeczyć. Trzeba więc, żebyście się uspokoili i nie czynili niczego ze zbytnim pośpiechem.

— Przyprowadziliście tych ludzi, a oni nie są ani świętokradcami ani bluźniercami naszej bogini. Jeżeli Demetriusz i artyści, którzy z nim (pracują), mają do kogo pretensje — odbywają się przecie publiczne sądy, a także są prokonsulowie — niech jedni drugich pociągną do odpowiedzialności. Jeżeli ponadto chodzi wam jeszcze o jaką sprawę, to ona może być załatwiona, ale na legalnym zebraniu. Tak zaś narażamy się na niebezpieczeństwo i z powodu dzisiejszych rozruchów możemy zostać oskarżeni. Nie ma bowiem żadnego powodu, którym byśmy mogli wytłumaczyć to zbiegowisko.

To powiedziawszy rozwiązał zebranie.

Nie wiem jak literaci, jak biblişci i teologowie przyjmą nowe tłumaczenie Ewangelii św. i Dziejów Apostolskich. Ja sam ciągle znajduję w nim coś do poprawienia; ile razy do niego zajrzę, tyle razy w nim coś kreślę. Uważam jednak, że jak w każdej rzeczy tak i tu będzie miało znaczenie przysłowie: Nie to jest piękne, co jest piękne, tylko to, co się komu podoba; i: Quot capita, tot sensus. W każdym wypadku, jakkolwiek nowy przekład zostanie przyjęty, uprzystępni on skarbnicę nauki katolickiej i poetyckiego natchnienia, jaką jest Ewangelia, a choćby samo to tylko jest już pozycją o wielkiej wadze gatunkowej.

Ks. F. Gryglewicz

Warmia i Mazury

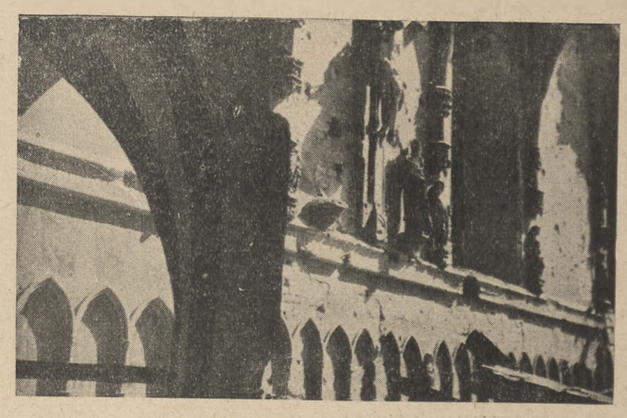

ZAMEK W MALBORKU. Fragment ruin kościoła zamkowego.

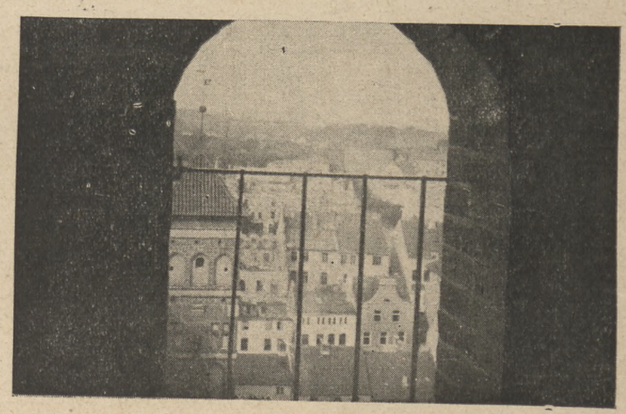

LICBARK. Widok z zamku na starą część miasta.

PASYM - RUDZISKA. Mazurski Uniwersytet Ludowy.

PASYM - RUDZISKA. Przed burzą.

PASYM - RUDZISKA. Próba „Plonu“ K. Małłka.

GIETRZWAŁD. Dom Samulowskiego (pierwsza polska księgarnia na Warmii). Fot. St. Sulima

HENRYK WORCELL

IV)

O D W E T

— No proszę, no proszę... A stara mówiła, że nie mają więcej prześcieradeł, że im Rusy zabrali. No proszę, no proszę... A ja zawsze sobie tak myślałam: gdzie też to Niemcy naszą pościel wywieźli? A tu...

— A tu aż w Ptakowicach się znalazła — podpowiedział jej porucznik Stopka.

— Właśnie... Aż tu w Ptakowicach u Hattwigów się znalazła! No proszę, no proszę... — nagle coś sobie przypomniała i sięgnęła do kieszonki fartucha.

— Stefku, zapomniałam ci coś pokazać. Panie poruczniku, co to za mundur? — to mówiąc położyła na stole dwie fotografie, podobizny Paula.

— S. A.! — wykrzyknął Stefan. — Gdzieś to znalazła?

— W listach, w dużym pokoju, ale nie chciałam tam pokazywać, bo mnie stara i Liza obserwowały.

— Dobrze pani zrobiła — przytaknął Stopka. — To się wam może kiedyś przydać. Przy wysiedlaniu Niemców partyjnicy pójdą na pierwszy ogień.

— On tu ma jeszcze obie ręce i bardzo młodo wygląda.

— To nie ma nic do rzeczy; był partyjnikiem, tu jest corpus delicti i może apelować nawet do samego Churchilla, to mu nic nie pomoże. A ja też coś znalazłem... — twarz Stopki przybrała wyraz łobuzerski, usta rozszerzyły się szerokim uśmiechem, gdy kładł na stole dwa małe naboje. — Acha, was ist das, meine Herren? Konusówka, kaliber dziewięć. Tu flobert musi gdzieś być.

— Stara przysięga się na wszystkie świętości, że broń myśliwska zdali folkszturmowcom — rzekł Kobuz — ale tak samo przysięgają, że w stodole nic nie ma.

— Wiecie co, panowie — wykrzyknął Opaliński — wy sobie tu siedźcie, a ja na chwilę zejdę do kuchni.

Stopka domyślił się, po co Opaliński chce tam pójść.

— Tylko o konusówkach niech pan nic nie wspomina — wykrzyknął za nim.

— Stefek — zawołała jeszcze Genowefa — ale starej lepiej daj już spokój, ona już dosyć płakała.

— A pani? — podchwycił Stopka — mało się pani w obozie napłakała? A matka może się śmiała gdy z Oświęcimia dostała pakiecik z ubraniem syna?

Genowefa pochyliła się nad ręcznikami, jak gdyby chciała je dokładnie przeliczyć, po czym wyprostowała się i przez chwilę patrzyła w okno.

— Ach, wie pan — powiedziała wreszcie — to wszystko wydaje mi się teraz takie dalekie. To było w jakimś innym życiu, w innym świecie, czasem wydaje mi się, że w ogóle nie było. Nie chcę o tym myśleć, bo jak zaczynam myśleć, to mnie wciąga i wciąga coraz bardziej, jak do jakiej piekielnej studni i wtenczas czuję się strasznie — to mówiąc przyłożyła palce obu rąk do skroni — tak się czuję, jakbym miała jakieś okropne, ale to okropne wymioty, albo się zaczadziła węglem i nie mogła przy tym ani umrzeć, ani przytomności stracić. Och, nie, nie, wolę od tego uciekać jak najdalej. I przez to nie umiem się mścić, nie umiem nienawidzić.

— A czy pani wie, że trzeba nienawidzić?

— Nie, ja myślę, że nie...

— Dlaczego? Może dlatego, że religia zakazuje?

— Czy ja wiem... Religia tak, religia zakazuje, ale ja nie z powodu religii. Ja sama tak jakoś... Bo co mi z nienawiści przyjdzie?

— A to pięknie — rzekł porucznik kpiąco. — Gdyby tak każda Polka myślała, to już dawno przestałbyśmy istnieć. Niech mi pani powie jedną rzecz: jeżeli wróg, w tym wypadku Niemiec, chce mnie zabić, to co ja mam robić?

— Chyba się bronić...

— Nie „chyba", tylko na pewno. Więc mam się bronić, tak?

— No tak...

— A czy mogę się bronić przed Niemcem i równocześnie kochać tego Niemca?

Genowefa nie od razu odpowiedziała. Miała ona swoje myśli, których, prócz Stefanowi, nie wyjawiała nikomu. I w tej chwili mogłaby z zupełną szczerością powiedzieć do porucznika, że można się zupełnie przed Niemcami nie bronić i jednak nie zostać przez nich pokonanym, bo przecież Bóg się nami opiekuje. Więc nienawidzić nie potrzeba. I tak oto można być w zgodzie z sumieniem chrześcijańskim i sumieniem narodowym. Wiedziała jednak, że taka odpowiedź mogłaby wywołać u Stopki zbyt gwałtowny sprzeciw, wolała więc odpowiedzieć wymijająco.

— Nie, trudno jest wtedy kochać...

— Więc muszę go nienawidzić! Nienawiść daje mi siłę do obrony, bez nienawiści nie pokonałbym Niemca, nawet nie potrafiłbym odebrać od niego mojej własności.

Tymczasem w kuchni, zanim się tam zjawił Opaliński, z Hattwigami działo się podobnie, jak z ich rzeczami: ulegli rozbiciu i dezorganizacji.

Lucy nakryła stół i zasiadła do obiadu z Lizą i Paulem. Greta usypiała dziecko odpychając wózek na długość ręki i przyciągając go ku sobie. Stara Hattwigowa nie chciała nic jeść. Siedząc przy maszynie do szycia: palcami prawej ręki podpierała czoło i patrzyła w ziemię. Wszystko, co się dziś w jej domu działo, przyjęła, jako coś nieuniknionego. Prawem jakiejś dziwnej symbiozy, istniejącej między zwycięzcą a zwyciężonym, wcale nie czuła gniewu do Opalińskiego. Przeciwnie: miała dla niego pewien podziw połączony z gorzkim uczuciem bezradności. Tylko w stosunku do Grety i Paula nurtował w niej nieuświadomiony w tej chwili żal za ich buntowniczość i przeciwstawienie się wypadkom, które przecież były nieuniknione. Dlatego z sympatią spojrzała na Lizę, która czerwona na twarzy i jakby napuchnięta złością, powiedziała do Grety:

— To wszystko przez ciebie: Chciałaś im jedzenia poskąpić, to teraz oni nam będą wydzielać.

Greta zwróciła ku niej bladowoskową twarz o zaciśniętych ustach i zimnych oczach.

— Naturalnie, że ja jestem winna. Ja też jestem winna, że w całej wsi Polacy robią rewizję. Tak, ja jestem winna.

— Nie wszędzie robią rewizje. U Montaga byli, U Sterna byli i jeszcze w innych domach, a rewizji nie robili. I u nas by też nie robili, gdyby ten nasz Polak nie był na ciebie zły.

— Oo, mam wielkie zmartwienie, że jest na mnie zły.

— Pewnie, że nie masz, bo twoich rzeczy nie znaleźli. Nie twoja szkoda. Ale tylko tyś radziła, ty i Paul, żeby nie mówić gdzie są rzeczy schowane. Ten oficer wyraźnie powiedział, że jak powiemy, gdzie są rzeczy, to nam nic nie zabiorą.

— Aha — odcięła się Greta — to może im powiesz, gdzie są strzelby schowane?

— Pssssst! — syknął Paul podnosząc wskazujący palec i spozierając na drzwi — „szakrew", nie tak głośno! Lucy, idźno zobacz, czy nie ma kogo za drzwiami; ta nasza Polka lubi podsłuchiwać.

Dziewczyna wyszła do sieni i natychmiast wróciła.

— Nie, nikogo nie ma. Wszyscy na górze i coś bardzo głośno mówią.

— Naturalnie, święto dziś mają — rzekł Paul. — „Nu, charaszo", niech się cieszą, dopóki im wolno. Petruschke stary, ale Petruschke nie głupi. I dobre wiadomości zawsze ma. Dziś mi mówił: „poczekajcie, poczekajcie, jeszcze będą oni stąd wyrywać, aż się będzie kurzyło za nimi. „Nie, nie, oni tu długo nie zostaną, zobaczycie.

— Eh... — wtrąciła Liza lekceważąco — tyś zawsze optymista. Sowieci byli pod Wrocławiem, a tyś się jeszcze z ojcem kłócił, że wojnę wygramy. I jeszcześ ojcu groził, że go każesz zamknąć, gdy będzie ciągle mówił o przegraniu wojny.

— Nieprawda — zaprzeczył Paul i bokiem zwrócił się do starej — Matka, czy ja tak mówiłem? Ja tylko ostrzegałem ojca, żeby był ostrożny ze swoimi wątpliwościami, bo się może Gestapo nim zaopiekować. A co do Polaków, to ojciec nigdy nie miał racji. Ja zawsze mówiłem, że się ich za mało wytępiło i teraz to się potwierdza. Gdyby ich zginęło jeszcze parę milionów, toby tu nie przyszli, bo w samej Polsce mieliby za dużo miejsca.

Stara Hattwigowa była katoliczką wierzącą i praktykującą. Co niedzielę wysłuchiwała mszy świętej, a w domu często i ufnie spoglądała na obraz Chrystusa z napisem: „Heiliger Herr Jesu erbarme dich uns".

W tej chwili słowa Paula, niby spóźnione echo, doszło do jej świadomości, a poczciwe jej oczy smutno spojrzały na syna.

— Paul — rzekła tonem karcącym. — Jak możesz tak mówić! Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jak drogo musielibyśmy teraz zapłacić za tych parę milionów?

Paul chciał starej coś na to odpowiedzieć, zaprzeczyć jej, bo przełykając mięso niecierpliwie potrząsnął głową, gdy w tej chwili na schodach zadudniły szybkie kroki. Greta czym prędzej czmychnęła do swego pokoju, Lucy jak by spłoszona przebiegła wzrokiem po twarzach Hattwigów.

Drzwi otwarły się szeroko, w progu stanął Opaliński.

— Pani Hattwigowa, niech pani pozwoli na chwilę — powiedział i cofnął się z powrotem zostawiając drzwi uchylone.

Stara podniosła się z krzesła i ruszyła ku drzwiom — zdawało się, że biegnie starczym truchtem, chociaż w rzeczywistości krok jej był powolny. — Bitte? — stanęła przed Opalińskim patrząc mu poddańczo w twarz. Stefan celowo odczekał parę sekund — czuł bowiem, że jego milczenie w tym wypadku, to jakby naciąganie łuku przed wypuszczeniem strzały.

— Pani Hattwigowa — rzekł wreszcie — pani jest najrozsądniejszą w rodzinie. Z panią najprędzej można się dogadać — tu znów zrobił przerwę. — Nam we wsi powiedziano, że macie gdzieś schowane dwie strzelby. Macie je na pewno, my o tym wiemy. I teraz będzie tak: albo nam natychmiast, dziś jeszcze, te strzelby oddacie, albo jutro przyjdzie tu milicja, pani już wie, że ja na wiatr słów nie puszczam, będzie tak, jak powiedziałem.

Umilkł i bacznie wpatrywał się w jej twarz.

Stara opuściła głowę i w wielkim zatroskaniu palcami prawej ręki ujęła się za brodę. Opaliński był już pewny wygranej.

— Frau Hattwig — powiedział jeszcze — jeżeli nam oddacie broń dobrowolnie, to daję pani słowo, że nic złego się wam nie stanie. Jeżeli nie oddacie, to jutro zajmie się wami milicja. No?

Stara opuściła rękę, boleśnie spojrzała na swego dręczyciela — broda jej drgała jakby od wewnętrznego płaczu. Jeszcze nie mogła się zdecydować.

— No, Mutti — rzekł Stefan kładąc dłoń na jej ramieniu — proszę tak zrobić, jak ja radzę. Ręczę pani, że nic złego się wam nie stanie, wszystko będzie załatwione między nami. No, Mutti, proszę iść, my będziemy czekać na górze — odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w górę schodów.

W kilku minut później do pokoju Opalińskich zapukała Liza. Ubrana była w płaszcz i futrzaną kapuzę.

— Panie Opaliński — powiedziała patrząc na Stefana jakby łukiem, ponad głową porucznika Stopki — czy nie mógłby ktoś ze mną pójść? To jest tam w górze, na łące, muszę odkopać. Mógłby mnie kto zobaczyć.

— Stefan, ja pójdę! — zawołała Genowefa. — Mam ochotę się z nią przejść.

— Doskonale, tylko weź te drugie buty, bo tam śnieg duży.

Liza cofnęła się za drzwi, Genowefa szybko zmieniła buty i wdziała płaszcz.

— Pamiętaj — pouczał ją Stefan — że mają być dwie sztuki: prawdopodobnie jedna strzelba i jeden flobert.

— Żegnaj mężulku — zaśmiała się Genowefa usiłując nie patrzeć na poruczn ika — może się już nie zobaczymy, może ona mnie tam zamorduje.

Kobuz pokręcił głową dziwiąc się czemuś.

— Wiecie panowie, pomyśleć tylko, coby się tu działo, gdyby Niemcy byli na naszym miejscu, a my w ich położeniu. Partyzantka pierwszej klasy! Wojska nie widać, siedmiu milicjantów na dziesięć wsi i ani jeden osadnik nie ma karabinu. W takich warunkach żaden Niemiec nie śmiałby się tu osiedlić. I czemu oni teraz tacy spokojni jak barany?

Porucznik Stopka uśmiechnął się ku Opalińskiemu rozszerzając usta od ucha do ucha.

— Bo nie mają Fuehrera, nie ma im kto befelować.

— Tak, ma pan rację — przytaknął Opaliński czując lekkie zażenowanie z powodu tego, że mówi w tej chwili tak poważnie, filozoficznie jakoś, niestosownie do chwili. — Ja nieraz o tym myślałem i wie pan, przyszło mi na myśl, że Niemcy, to znaczy cały naród niemiecki, to tak, jakby ciężki, ogromny czołg. Jedzie i tratuje wszystko, co napotka, ale niech mu tylko benzyny zabraknie, to się zatrzymuje i staje się niewinną zabawką. Tą benzyną dla nich, to właśnie Fuehrer, bez niego z miejsca nie ruszą. Dlatego na razie możemy być spokojni i nie bać się Niemców, dopóki... — dopóki benzyny nie wytworzą — podpowiedział Stopka.

Ruryk, dobrze już podchmielony, błogo rozpierał się w trzcinowym foteliku i przyjaźnie spoglądał na twarze kompanów.

— Benzyny? — podchwycił słowa Opalińskiego i Stopki. — Ależ panowie, Niemcy już wytwarzają benzynę. Syntetyczną benzynę z węgla.

— — — — — — — — — —

Tymczasem Genowefa i Liza brnęły w śniegu idąc pod górę. Unikały drogi, bo w koleinach śnieg był głębszy, szukały miejsc wydmuchanych przez wiatr. Suczka Hansi wybiegła z jakichś zakamarków obory, dogoniła kobiety, obtańczyła je wokoło i pognała w górę, również omijając śnieżne zapadliny. Kobiety szły w milczeniu solidaryzując się jak by z ciszą białej, śnieżnej powłoki. Nad nimi, nad lasem, rozpościerało się coś równie białego, pozbawionego plam — ani to niebo, ani to chmury, może otynkowane szronem sklepienie. W mroźnym powietrzu, z rzadka i niezdecydowanie błądziły drobne, jakby zwapniałe płatki śniegu.

Gdyby się Genowefa obejrzała, zobaczyłaby zabudowania dolnej części Ptakowic i wieżę kościelną, wystającą zza skłonu wzgórza. Białym, murowanym domom, budowanym według utartego szablonu, bez werand i balkonów, bardziej odpowiadała nazwa Vogeldorf, niżeli Ptakowice. Wieś ze swymi zabudowaniami niby lodowiec pełen narzutowych głazów, spływała doliną aż do stóp poprzecznej góry i tam się kończyła, jakby zatamowana tą naturalną zaporą. Z prawa i z lewa śnieżną biel stoków plamiły czarne liszaje lasów. Pole, po którym Genowefa i Liza szły, szeroką polaną wrzynało się między dwie ściany lasu i dzieliło się na szereg długich pasm. Pierwsze po prawej stronie, pod samym lasem, należało do Adlera, obecnie do porucznika Stopki; drugie do Hattwigów, czyli teraz do Opalińskich; trzecie do Klappera, teraz do sierżanta Molendy, czwarte do Wolffa, czyli teraz do górala Marduły, piąte do Ruryka.

Genowefa przypomniała sobie pewien jesienny dzień, kiedy ze Stefanem szła tą właśnie drogą, a na wszystkich pięciu polach Niemcy uwijali się kopiąc ziemniaki. I wówczas Stefan powiedział jej coś, w co wówczas nie bardzo wierzyła: „pomyśl, może na przyszły rok już my sami będziemy kopać ziemniaki i będziemy wołać do sąsiadów: „szczęść Boże!"

Liza, dźwigająca kilof i łopaty, stanęła na chwilę, by odpocząć.

— Frau Opaliński — powiedziała odetchnąwszy trochę — niech pani powie prawdę: czy nie będziemy karani za te strzelby?

— Nie, niech się pani nie boi.

— A milicja do nas nie przyjdzie?

— Ależ nie. My wcale milicji nie będziemy zawiadamiać. A gdyby nawet przyszła, to i tak nic złego wam nie powiedzą, bo strzelby oddajecie dobrowolnie. A zresztą — dodała z pewną dumą — jak wam mąż powiedział, że nic złego się nie stanie, to na pewno się nie stanie. Mój mąż nigdy nie kłamie.

Zdaje się, że ten ostatni argument najbardziej Lizę uspokoił.

— Na, Gott sei Dank — odetchnęła i ruszyła w górę.

Z tej wysokości dom Hattwigów, stodoła i stajnia wydały się spłaszczone, drzewa owocowe niskie, przysadziste, a daleko poza wsią, między dwoma zboczami gór, otwierał się widok na rozległą, głęboką dolinę. Tam leżały tajemnicze wsie, o nazwach dziwnie brzmiących, podwójnych: Hoyerswerd — Kaczanowice, Verlorene Wasser — Zawoda, Millenau — Milanów, Droschkau — Drążków, Targau — Targów... i jeszcze dalej i dalej, na północ i na wschód, au. au. aż po **Breslau, Glogau, Krakau, Warschau** — słowa ciężkie, jak warkot bombowca.

Doszedłszy do wierzchołka góry, Liza znów przystanęła. Tu zaczynały się łąki podzielone na kwatery, ogrodzone kolczastym drutem i niby zatoki zamarzniętego jeziora wrzynające się w świerkowy las, Teraz było tu pusto i martwo, ale na wiosnę, gdy trawa porośnie dolinę bujnym kobiercem, gdy zakwitną pierwiosnki i mlecze, a synowie Marduły przygonią tu krowy i gdy po raz pierwszy od początku świata rozlegnie się po tych uboczach góralskie „wyskanie" — wtedy zakątek ów przemieni się w rajską dolinę.

— Frau Opaliński... Mam do pani prośbę: czy nie mogłabym dostać z powrotem moje suknie, tę czerwoną i dwie niebieskie?

— No... — Genowefa zawahała się — to nie ode mnie zależy. Ale postaram się, żeby pani dostała.

— Tak? Bardzo pani dziękuję.

— A gdzie te strzelby są zakopane?

Liza wskazała na mały, drewniany domek, podobny do pasterskiego szałasu. — Tam, pod tą szopą — powiedziała opuszczając kilof i łopatę na ziemię. Przez chwilę milcząco patrzyła w dół, ku kamiennym blokom wsi, twarz jej, nigdy się nie uśmiechająca, surowa, jakby wyparzona wiatrem i mrozem, nie zdradzała żadnych uczuć — była równie zimna i martwa, jak ten styczniowy krajobraz.

Genowefa, która w ciągu drogi musiała hamować porywy serca i tłumić nurt współczucia płynący ku tej kobiecie, teraz, patrząc na jej twarz poczuła nagle w sobie, w białej przestrzeni pól i w mroźnych przestworzach coś tak obcego, że aż się zlękła i zdrętwiała wewnętrznie. Zrozumiała, że w tym świecie, który otacza męską postać Lizy i posuwa się razem z nią na kształt wydrążonej bryły lodu, nie ma ani wiary, ani nadziei, ani miłości. To samo odczuła niegdyś w Garsebach patrząc na pękatą, jakby faszerowaną szkłem, postać lagerfuehrerki Schadewitz, i ten sam lęk zakołysał jej sercem, gdy w domu rodzinnym zjawiły się kwadratowe, kościste twarze SS-manów.

Z tęsknotą spojrzała w dół, ku białym ścianom domu, wśród których czeka na nią gorące serce Stefana.

— No, Liza — rzekła oschle nie patrząc na Niemkę. — Chodźmy dalej. Zimno.., mi... Hansi, Hansi! — zawołała do nadbiegającej suczki. — No, Hansi, no Hansi, chodźże tu, chodź... Zmarzło biedactwo, ojojoj, jakie zimne łapki... Chodźże tu, chodź, niech cię zagrzeję. Och ty małpko kochana...

Henryk Worcell.

LESZEK GOLIŃSKI

Czterdziestu kapitanów Tulonu

Tulon. Malownicze uliczki, szerokie bulwary portowe, ciemny lazur nieba. Południe. Na kamieniach sennie wygrzewa się kot, z pobliskiej tawerny dolatuje dźwięk akordeonu. Marynarze wokół stołów, cienkie wino, rum. Nigdy ich tutaj jeszcze tylu nie było, nigdy jeszcze Tulon nie otworzył gościnnie swoich basenów dla tylu gości: stoją oto na redzie, dumni i wyniośli — masywny „Strassburg", wielki „Vatour", niezwyciężony „Dunkerque", mały, zabawny „Tapageuse". Od strony Afryki, od dalekiego południa, gdzie powiewa już trójkolorowa flaga republiki, wieje ciepły wiatr. Kołyszą się fale zatoki. Kołysze się na tych falach cały honor wielkiej Francji.

Jest listopad 1942. Prysła ostatecznie złuda Vichy, rozczarowali się ostatni optymiści. Niemcy przekroczyli linię demarkacyjną i zajmują całą Francję, tłumacząc się wykrętnie desantem, który grozi od strony Korsyki. Więc cała Francja przełyka łzy upokorzenia i patrzy na Korsykę: czy przyjdzie stamtąd nowy mściciel, wielki wódz, mały kapral?

Popatrz: ciepłymi, sennymi uliczkami Tulonu maszerują krzykliwe kompanie Wehrmachtu. Cichnie akordeon w tawernie, ucieka spłoszony kot. Czołgi niemieckie otaczają miasto, buszują w portach, przystają dopiero nad morzem, a morze liże ich brudne gąsienice. Trójkolorowa flaga niknie z gmachu admiralicji: Z oczu przechodniów wyczytano ból i gorycz. Na zemstę jeszcze jest za wcześnie.

Bezrobotni urzędnicy, milczący tragarze portowi lubią godzinami patrzeć na okręty. Stoją wyprostowane, czyste, groźne i milczące. Lufy skierowały na miasto, ale milczą. Na masztach łopocze flaga republiki francuskiej. Marynarze wałęsają się po pokładzie lub czyszczą czarne lufy dział. Oto jest Francja: ostatni jej niepodległy skrawek, ostatni strzęp wolności, ostatni błysk nadziei. Flota francuska żyje, więc Francja żyje. Vive la France!

Listopad dobiega końca. Zaczynają się coraz częściej przykre, deszczowe dnie, słońce chowa się za chmury. Morze z mostka kapitańskiego wygląda, jakby je ktoś przetopił w ołów. Monsieur Seneur zapala fajkę i patrzy pytająco na admirała Laborde. Admirał ma już sześćdziesiątkę, jest zmęczony i apatyczny, jak Petain. Każe codziennie czyścić pokład, a wieczorem jedzie na lampkę wina do niemieckiego dowódcy miasta. Ci Niemcy, to są nawet ludzie całkiem do rzeczy. Można z nimi żyć.

Seneur jest dzisiaj natarczywy. Wprawdzie i on lubi przyjęcia u niemieckiego generała, ale sumienie nie daje mu spokoju.

„Co robić, admirale? Przedzierać się do Afryki? Tu zostać nie możemy. Marynarze coś knują. To się wszystko smutnie skończy...

„Seneur? Brak rozwagi? Pamięta pan słowa Hitlera? Jesteśmy przekonani o szczerości jego zamiarów. Dał przecież osobiście słowo honoru, że flotę naszą zostawi w spokoju. Marynarze muszą słuchać. Rozkazuję: nie wypuszczać marynarzy na ląd. Już i tak generał mi się skarży, że coraz częściej dochodzi do strzelaniny..."

„Rozkaz admirale..."

Jest 26 listopada. Noc spada nagle na miasto. Stukają kroki służby po pokładzie „Strassburga".

Admirał Laborde przeciąga się w łóżku i spogląda na zegarek. Jest 5 rano. Dopiero teraz spostrzega on, że ujrzał tarczę zegarka, nie zapalając światła. Patrzy w okno: na niebie kołyszą się bajeczne żyrandole, kapiące ogniem „choinki". Od ich trupiego światła całe miasto i port wynurzają się nagle z mroków. Iluminacja? Admirał narzuca na siebie płaszcz i wybiega na pokład. Ponad światłem, niewidzialne, huczą silniki samolotów.

Na dany sygnał rozpoczynają koncert działa i czołgi niemieckie. Od wielu dni szukały one sobie wygodnych stanowisk w porcie, wyznaczały pola obstrzału. Tryskają fontanny wody, dzwonią odłamki i kule po pancerzach morskich kolosów. Laborde czuje, jak mocno wali mu serce. Jeszcze mocniej jednak wali ktoś w gong alarmowy. Huczą syreny, budzi się port i miasto. Alarm!!!

Hitler dotrzymał słowa...

Czemuż Laborde nie wydaje rozkazu walki? Mamy ginąć bez wystrzału? Mamy się poddać boszom?

Radiotelegrafiści odrzucają słuchawki i biegną na pokład. Wszyscy, wszyscy patrzą na admiralski „Strassburg". Jest jasno, jak w dzień. Na mostku kapitańskim dwie nieruchome postacie: Seneur i Laborde. Nie, nie wydają żadnego rozkazu. Milczą. Już są pierwsi zabici i ranni, już pociski niemieckie demolują pokłady. Mamy tak ginąć? Na honor Francji, nigdy!

Ktoś musi zacząć. Rozpoczynają chłopcy z małego aviso „Tapageuse". Imię tego okrętu będzie wymawiane z czcią przez całe pokolenia. Weseli chłopcy z „Tapageuse" tego chmurnego poranku uratowali honor Francji. Zgrana to była załoga: już w Algierze mówili oni głośno, co myślą o gauleiterze Lavalu. Teraz przemówią najgłośniej, tak głośno, że usłyszy ich cała Francja, a setki tysięcy ludzi przy głośnikach radiowych dławić teraz będzie skurcz dumy lub wściekłości. Oto z piekielnym hukiem eksplodują komory amunicyjne na „Tapageuse", statek dosłownie przełamuje się wpół i momentalnie tonie. Kilka postaci skacze w ostatnim momencie do wody, reszta idzie wiernie ze swoim statkiem na dno. „Tapageuse" żywcem nie wpadnie w ręce niemieckie.

Sygnał masowego samobójstwa wydany. Niemcy zdwajają siłę ognia: grzechoczą karabiny maszynowe, wyszukujące w falach rozbitków, dymią wszystkie działa. Blask i płomień rozdziera przednią wieżę pancerną „Strassburga" na pół.

Sygnał jest wydany.

Popatrz: płomienie ogarniają okręt liniowy „Dunquerke". Tej Dunkierki nie zdobędą już bosze. Popatrz: eksploduje „Jean die Vienne" duma całej Francji, eksploduje i tonie „Algerie", płomienie liżą starego „Focha", który nawet po śmierci nie może wybaczyć zdrady swemu koledze — Petainowi. Tonie „Amperes", „Duplex", Lanquenet", „Vatour", przechyla się niebezpiecznie wielki lotniskowiec „Commandante Teste", pogrążają się w falach łodzie podwodne, stawiacze min, cysterny i transportowce. W oknach Tulonu tłumy Francuzów patrzą ze łzami w oczach i zachwytem na bohaterski koniec wielkiej Floty Republiki.

Niektórych okrętów nie można wysadzić w powietrze, bo brak im amunicji i środków wybuchowych. Załoga jednak nie daje za wygraną: demoluje urządzenia, niszczy własnymi rękoma to, co tak bardzo ukochała.

Podpływają niemieckie ścigacze po resztę zdobyczy. Wita je rzęsisty ogień karabinów maszynowych i dział. Ostatnia bitwa Francji dobiega kresu.

Gasną rakiety świetlne, budzi się świt. Czy to świt? Nie, to płonie Tulon. Robotnicy portowi nie mogą bezczynnie patrzeć na śmierć wielkiej floty. Płomień ogarnia magazyny, eksplodują zbiorniki nafty i arsenały. Tulon płonie i ogniem swoim zapala całą Francję.

Nowy alarm. Oto sześć francuskich łodzi podwodnych przedziera się przez ogniową blokadę niemiecką i ucieka. Po paru dniach cztery z nich zawijają do portów hiszpańskich i algierskich. W ręce niemieckie z całej floty tulońskiej wpada tylko jeden kontrtorpedowiec „La Panthere".

Ognie Tulonu widziała cała Francja. Paryż samorzutnie okrył się żałobą. Okazało się, niestety poniewczasie, że Francja była znacznie silniejsza, niż to się wydawało w tragicznych dniach czerwcowych czterdziestego roku. Wielka flota francuska, trzecia pod względem wielkości flota świata mogła odegrać zupełnie inną rolę. Los chciał inaczej. Bezpłodnym, choć pięknym aktem heroizmu zadokumentowała ona światu, że „la douce France" umie umierać z godnością, że Francja, to nie tylko Vichy, to nie tylko Laval. Przez łzy Paryża uśmiechała się duma. Duma spóźniona o dwa i pół roku.

Żaden zdrajca wolności nie umiera we Francji na łóżku. Sprawiedliwość dosięgła Lavala, Petaina i admirała Laborde. Stanął on niedawno przed Najwyższym Trybunałem Republiki Francuskiej. Minuta milczenia w tragicznej chwili zadecydowała o jego losie: sześćdziesięciopięcioletni admirał został skazany na śmierć jako zdrajca swojej ojczyzny. Wyrok wykonano.

A w dalekiej Polsce wkrótce po tragicznym dniu Tulonu, po ostatnim akcie dramatu Republiki Francuskiej Tadeusz Hollender napisał wiersz o czterdziestu bohaterskich kapitanach Tulonu. Wiersz ten stał się wyrokiem śmierci na poetę.

Malowniczymi uliczkami Tulonu przechadzała się w te dni cała Europa.

Leszek Goliński.

BRONISŁAW KAMIŃSKI

Migawki paryskie

WYSTARCZA przejść przez Quartier Latin, aby się otoczyć i zagłębić w tę atmosferę, która stanowi prawdziwy Paryż. Mniejsza już o zabytkową architekturę, stare domy i pomniki, ale żywiej bije serce na myśl, że każda z tych ulic ma swoją tradycję, a każda z kawiarń swoją tajemnicę. Niewielka kawiarnia Flore na bulwarze St. Germain to przystań egzystencjalistów. Tutaj przesiaduje Camus, Sartre i ich wielbiciele. W zmętniałym od dymów powietrzu w szeptach rysują się spojrzenia, które wymierzają świat. Egzystencjalizm to sprawa zbyt poważna, aby ją omówić w kilku słowach; przypuszczam, że kiedy indziej i w innym miejscu uda mi się obszerniej ten problem ogarnąć. Filozofia ta choć zrodzona i dyskutowana w kawiarni jest sroga i trudna, odziera bowiem człowieka z wszystkich jego wierzeń, czyni go samotnikiem wśród nieznanych sił przyrody, każe mu się wyrzec każdej tkliwej słabości, każdego ubrania i troski.

Poważny pisarz nosi dziś w Paryżu jedwabną koszulę, melonik i wytworny garnitur. Poeci są ludźmi statecznymi i szanowanymi jak fabrykanci. Natomiast wszyscy studenci — od medyków aż do geologów noszą na zarośniętych karkach rozwichrzone czupryny. Znacie te romantyczne twarze? Wyglądają jak dziewiętnastowieczni poeci. To moda, zwana Zazou każe zwracać specjalną uwagę na rozwichrzone dziko włosy.

NAJMŁODSI poeci stworzyli nową szkołę, którą nazwali „le lettrisme". Jest to nowe dziwactwo, wyrosłe z braku prawdziwej treści lub z przesytu. Osobiście jestem skłonny przypuszczać, iż właśnie to pierwsze skłania młodych, zapewne nie zbyt wykształconych ludzi do dziwaczenia. W swoim niedawnym manifeście z iście zaślepioną nieświadomością i co w parze idzie brutalnym tupetem, piszą: „Letryzm to przystanek konieczny na drodze powrotnej w kierunku prawdziwej sztuki. Obwieszczamy ludzkości założenia pierwsze. Koniecznym jest, by letryzm panował w radio i w kabaretach. Letryzm przewyższał Beethowena i Eyschylosa i t. d.... A w rzeczywistości letryzm polega na całkowitym zaniechaniu **słów jako jedności.** Słowo rozbija się dowolnie i wychodzi z tego taki mniejwięcej poemat: „Tu—rêt—ki—tom—bu—bi—prê— soure—si... i t. d.

Na szczęście wszystkie większe drukarnie odmówiły druku arcydzieł letrystowskich, co zrobiło wśród fanatyków nieszczęsnej idei tęsknotę za dyktaturą, która by wydała drukarnie do ich dyspozycji. Jaka by ta dyktatura miała być? Jako odpowiedź wystarczy zacytować fragment z ich publicystycznej wypowiedzi: „Korzeń słowa nie interesuje już nikogo. Cała literatura jest anachronizmem. Mamy dość idiotyzmów Aragona. Jesteśmy uwolnieni z syntaksy, z wypocin Valerego, Picassa, z marksizmu i z Bretona"...

Są więc letryści uwolnieni z wszystkiego, co potrzebne do prawdziwej poezji i do samodzielnego myślenia. Ich poezja jest też inna, odbiega daleko od zwykłego szablonu, zgodnie z twierdzeniem, że nie potrzeba jej niczego, a więc wystarczy biała kartka papieru, aby z tej białości czytelnik wysnuł głębokie wzruszenie. Od czasu do czasu dopuszczony jest jakiś znak graficzny — kreska lub wykrzyknik.

QUARTIER Latin znało już wiele dziwactw i zapomni zapewne i o tym nowym zdziczeniu, wywołanym przez ogólne wytrącenie świata z jako takiej równowagi. Letryzm jest karykaturą literackiego prymitywizmu. Jeden z literatów francuskich H. Le Porrier wydrwiwając letryzm oświadczył, że jeśli ewolucja pójdzie dalej w tym kierunku, to nową prawdziwą poezją będzie najwykwintniejszy „Punktyzm".

MÓJ znajomy, doskonały pisarz Andrzej Bobkowski stwierdził, iż odmalowywanie wiosenne latarń na Camps Elysées na kolor bronzu jest zbrodnią. Latarnie wyglądają jakby były posmarowane czymś zgoła nieprzyzwoitym. Obok nieprzyzwoitych latarń spacerują nieprzyzwoite kwiaty. To kobiety z dziwacznymi kapeluszami upstrzonymi sztucznymi targającymi spojrzenia kwiaty. Gdyby te kobiety miały krzywe nogi, nie byłoby na co patrzeć, a tak można dostać zeza.

NA marginesie tego kolorowego życia dzieją się zdarzenia polityczne. De Gaulle stworzył nową partię, mającą stać ponad partiami. Ta nowa Federacja Narodu Francuskiego jest mocno podejrzana przez tę swoją ponad partyjność. Ponadpartyjność łatwo zamienić na monopartyjność. W kołach politycznych więc wrzenie i niepokój. Prawica krzyczy: De Gaulle au pouvoir! Lewica natomiast upatruje w wystąpieniach generała groźbę dla republiki.

Na bulwarach wiosenne towary i tyle kolorów, że uśmiech nie ogarnia świata.

Bronisław Kamiński.

Co robią Niemcy

Nieudane poskromienie złośnicy — Sentencja o bacie — Berlińczyku, twoim bogiem jest prąd elektryczny

Niemcy opuszczają Ziemie Odzyskane.

POSKROMIENIE złośnicy próbowano przeprowadzić w czasie procesu denazyfikacyjnego pani Winifred Wagner, krewnej Ryszarda Wagnera. Proces odbył się przy szczelnie wypełnionej sali, pani Wagner odgrywała bowiem niebylejaką rolę w Trzeciej Rzeszy. Kilkakrotnie odwiedził ją sam Hitler, a jego nadworny fotograf Hoffmann uwiecznił te spotkania nawet w specjalnej serii fotografii: Der Fuehrer zu den Kuenstlern. W ogóle z całą rodziną kompozytora żył Hitler w wielkiej przyjaźni, oświadczając pewnego razu, że bez muzyki Wagnera nie byłby Fuehrerem. Jednym z najbliższych przyjaciół pani Wagner był pewien ss-owski dygnitarz, uznany dziś za zbrodniarza wojennego. Na rozprawie przyjaźń pani Wagner z owym dygnitarzem była szeroko roztrząsana. Tak się bowiem złożyło, że pan ten opowiadał krewnej kompozytora o ludziach, którzy w najbliższych dniach zostaną aresztowani za antyhitlerowskie nastawienie a ona, choć ludzie ci byli jej znajomymi, nie uważała za stosowne ostrzec ich przed grożącym niebezpieczeństwem. Na zapytanie przewodniczącego trybunału, czy oskarżona po wyczerpującym omówieniu zbrodniczej działalności ss-mana dostrzega w nim zbrodniarza, a w przyjaźni swej do niego — błąd, pani Wagner rozpłakała się wreszcie i powiedziała: Ależ to był przecież człowiek tak piękny i tak pełen woli... Pomimo to wyszła z procesu — zdenazyfikowana. W tym momencie warto przypomnieć La Rochefocauld: Cały świat narzeka na złą pamięć, ale żaden człowiek nie narzeka na swój niedostateczny rozum.

NASTĘPNĄ wiadomość także warto opatrzyć sentencją. Tym razem sięgnijmy do skarbczyka myśli niemieckiej, bo i tam odnaleźć można zdania wymowne i trafne. Gustaw Adolf Bischoff powiedział, że są ludzie, którzy żądają odszkodowania za bat, który zniszczyli na plecach bliźniego. Jest to zdanie, które najtrafniej chyba określa powojenne nastawienie psychiczne Niemców, ich stosunek do świata, ich bezprzykładny brak poczucia winy. Rzeczywiście, oni także żądają odszkodowania za bat, który poszedł w strzępy, którym przez lat siedem chłostali narody Europy. Z takim nastawieniem przyjęto m. in. w Niemczech ogłoszenie wyników plebiscytu, jaki odbył się w pięciu krajach zagranicznych. Plebiscyt przyniósł odpowiedź ludności danych krajów na dwa pytania. Pierwsze pytanie: Co pan w obecnym momencie odczuwa w stosunku do Niemiec, sympatię, czy antypatię. Oto odpowiedzi:

	Francja proc.	Anglia proc.	USA proc.	Holand. proc.	Kanada proc.
Sympatia	3	42	45	29	41
Antypatia	56	36	28	53	28
Indyferentni	35	22	22	—	25
Bez stosunku	5	—	5	18	6

Drugie pytanie: Czy podług pańskiego mniemania Niemcy rozwijać się będą w kierunku umiłowania pokoju czy też w kierunku wojny i czy pańskim zdaniem Niemcy znowu rozpoczną następną wojnę.

	Francja proc.	Anglia proc.	USA proc.	Holand. proc.	Kanada proc.
Pokojowo i demokrat.	10	23	22	14	20
Militarnie	63	43	58	63	58
Bez stosunku	27	34	20	23	22

MNIEJSZA o niekonsekwencje, które istnieją między wynikami jednej i drugiej tabeli, bo przecież trudno odczuwać sympatię do narodu, o którym wie się, że znowu kiedyś rozpęta wojnę przeciwko ludzkości, ale niekonsekwencje te to już chyba jakaś tajemnica charakteru anglosaskiego. Ciekawe jest właśnie przyjęcie tych wyników przez prasą niemiecką. „Weser-Kurier" z tej okazji wydrukował długie kazanie swego naczelnego redaktora do narodów anglosaskich, w którym przypomina im obowiązek chrześcijański: miłuj bliźniego... pomagaj mu... pomóż mu odbudować dom, gdy go zniszczą fale lub strawi ogień... Ten pan pisze dosłownie tak: „Cyfra 28 procent Amerykan, nie nawidzących nas, budzi przerażenie. Przecież nic temu narodowi nie uczyniliśmy, a wojska jego wkraczające do Niemiec przyjmowane były przez wszystkich demokratów niemieckich z prawdziwą radością. Ogarnia nas przerażenie, że mogą tam za oceanem istnieć chrześcijanie, którzy na widok naszej nędzy i nieszczęścia materialnego oraz moralnego, zamiast współczuć, nienawidzą". Nas Polaków także przerażają wyniki plebiscytu, ale z całkiem innych powodów. Cyfra prawie pięćdziesięciu procent odpowiadających w Anglii i Ameryce, przyznających się do sympatii w stosunku do Niemiec, przeraża i mąci radość z pokonania zbrodni. Niemniej przerażające są cyfry indyferentnych i nie mających żadnego zdania, żadnego stosunku do Niemiec.

OSMAŃCZYK powiedział kiedyś, że do Niemiec trzeba posłać specjalistów psychopatologów, bo Niemcy dzisiejsi to klasyczny przykład narodu żyjącego w permanentnym, wszystkie dziedziny życia i myślenia ogarniającym obłędzie. W polityce niemieckiej obłęd jest nieuleczalny, próby wychowywania nowych kadr politycznych przez SED w strefie radzieckiej zawodzą także. W pracy kulturalnej wydawało się, że Niemcy zostaną wyleczone z obłędu i że na prawdę uda się im powrócić do opuszczonych źródeł całej wolnej myśli goethowskiej, schillerowskiej, heinowskiej. Ale pisarze i organizatorzy kulturalnego życia, którzy po przegranej wojnie pojawili się w Niemczech, albo tkwią zanadto w swej przedhitlerowskiej przeszłości, która artystycznie wyraża się w skrajnym i dziwacznym ekspresjonizmie, ideowo zaś rozwija się pomiędzy pacyfizmem, internacjonalizmem, a mistycyzmem typu tomaszomannowskiego, albo też ulegają parciu ideowemu dołów, które żądają coraz więcej literatury i formy życia kulturalnego na obraz i podobieństwo wzorów nacjonalsocjalistycznych.

ROZMOWY z klientami w bibliotekach i czytelniach berlińskich są dla tego twierdzenia znamienne. Podsłuchał je korespondent radia brytyjskiego i podzielił się nimi w jednej ze swoich pogadanek ze słuchaczami radiowymi. Młodym chłopcom, adept tom nowej „demokratycznej" policji niemieckiej, dano do przeczytania kilka książek opisujących losy więźniów obozów konc. w Trzeciej Rzeszy. Przy zwrocie książek zawiązała się taka rozmowa:

— No cóż, podobało się wam?

— E, to egzotyzm. Tego u nas nie było. Ja w każdym razie nie widziałem. Proszę mi dać coś z Emila Straussa.

Emil Strauss wykładał w swoich powieściach narodowy socjalizm. Książki jego znalazły się na indeksie, ale w czytelniach berlińskich można je otrzymać — stwierdza korespondent radiowy — mieszczą się one na osobnej półce, opatrzonej napisem: Verbotene Literatur, literatura zakazana. Ktoś rozkazał bowiem, żeby książek tych nie niszczyć, ale żeby je zachować jako dowody niemieckiego upodlenia i obłędu. I dzięki temu stoją na półkach. Dzięki temu można po nie sięgnąć ręką. Można je czytać. Ale to już nie jest obłęd. To — polityka. Sprytna, pełna zasadzek.

GDYBY nie kłopoty gospodarcze i prawdziwa bieda (skończyły się już przeważnie podarunki żołnierzy alianckich dla niemieckich dziewcząt; kobiety zagraniczne nudzą szybko, a zwłaszcza Niemki, które razem z miłością dają sporą porcję trosk materialnych, nieumiejętnie wplatanych w rozmowę miłosną — patrz wynurzenia żołnierzy amerykańskich w „New York Harald Tribune"), start do wyzwolenia się z pęt okupacji byłby żywszy i gwałtowniejszy. Ale troski materialne ogarniają całą myśl. W Berlinie na skutek trudności w dostawie prądu, który w mieszkaniach nieogrzanych zastępował węgiel, radość i chleb, powstało przykazanie: Berlińczyku, twoim bogiem jest prąd elektryczny, nie będziesz znał innych bogów. Głód i nędza zmuszają Niemców do rezygnacji z pychy i pruskiej dziarskości i bezczelności. Mylił się Osmańczyk, gdy powiedział, że głód i nędza zmusza Niemców do buntu, do szukania wojennej zaczepki. Że trzeba ich wobec tego nakarmić i napoić, a Europa będzie miała spokój. W tym celu ukuł aforyzm: Niemiec napojony i syty to rękojmia pokoju w świecie. Mylił się Osmańczyk i mylą się ci Anglosasi, którzy tak sądzą, bo przecież nie z głodu i biedy prowadzili Niemcy wojny.

wisz.

TADEUSZ KWIATKOWSKI

Na krakowskich scenach

DAWNO już nie pisałem o Krakowie. A właściwie umówiliśmy się z redaktorem Wilhelmem Szewczykiem, że będę stale plotkował o tym mieście. Muszę się więc poprawić. Przyrzekam. Mam wiele ciekawych rzeczy dotyczących Krakowa do powiedzenia. Przed tym jednak muszę napisać coś o teatrach krakowskich. Teatr katowicki dba o swoją reklamę dobrze, ma przyjazne recenzje, mówi się o nim dużo. Prasa krakowska poświęca mu od czasu do czasu dość miejsca. Czas więc najwyższy, aby najpoważniejsze pismo śląskie zrewanżowało się Krakowowi.

Dwa lata temu teatry krakowskie rozpoczęły swoją pracowitą działalność — wystawieniem „Przepióreczki" Żeromskiego. Było to w dniu 19 lutego 1945 r. a więc dokładnie w miesiąc po oswobodzeniu Krakowa. Przed tym jeszcze zjechał na gościnne występy Teatr Wojska Polskiego z Lublina z „Weselem". Tak więc major Krasnowiecki ze swym zespołem w kilka dni po ucieczce Niemców odtworzył sezon teatralny w tym najbardziej teatralnym mieście. Pamiętam, siedzieliśmy w loży pierwszego piętra. Kazimierz Czachowski, Tadeusz Kudliński, Kazimierz Wyka, Wojciech Żukrowski. Po pięciu i pół latach po raz pierwszy. Rozglądaliśmy się po teatrze. Nie było wtedy jeszcze licznych portretów i rzeźb dyrektorów i najznakomitszych aktorów tego teatru, ozdabiających korytarze i foyer, nie było kostiumów i rekwizytów, które Niemcy wywieźli w głąb Rzeszy. Był budynek i kurtyna Siemiradzkiego. Ileż wzruszeń nasuwał każdy znajomy przedmiot, każdy szczegół architektoniczny, z jakąż radością patrzyliśmy na czerwone, pluszowe fotele, na jaskółkę skrzypiącą po dawnemu drewnianymi oparciami. A kiedy padło ze sceny pierwsze słowo polskie po tylu latach — „Cóż tam, panie w polityce? Chińczycy trzymają się mocno?" zebrani drgnęli. Można było wyraźnie wyczuć drżenie, które przeszło po wypełnionej widowni. Był to pierwszy wstrząs wolności, pierwsze zbiorowe przebudzenie. Przedstawienie zaczęło się o czwartej po południu, trwało długo. I wszyscy chcieli by trwało najdłużej. Nie grał tu roli tekst Wyspiańskiego, ani nie szło o grę aktorską, o piękne sceny. Szło bowiem o słowo, słowo, które nagle objawiło się wolne.

TEATR RAPSODYCZNY W KRAKOWIE pod dyr. Mieczysława Kotlarczyka. Scena ze „Samuela Zborowskiego" J. Słowackiego. Dekoracje: J. Garyckiej

TEATRY krakowskie dokonały w ciągu dwóch lat wielkiego dzieła. Wystawiły 28 sztuk współczesnych polskich autorów dramatycznych, w tym 16 prapremier, 3 sztuki, ktorych prapremiery odbyły się w innych miastach polskich oraz 9 sztuk granych przed wojną. Żadne inne miasto w Polsce nie moze się poszczycić takim sukcesem. Oprocz tego grano jeszcze 21 dramatów autorow polskich, należących już dzisiaj do naszego żelaznego repertuaru scenicznego, a wśród nich Słowackiego (2 dramaty), Fredrę (4), Zapolską (4), Żeromskiego (1), Rostworowskiego (2), Blizińskiego (1), Bałuckiego (2), Wyspiańskiego (1), Niemcewicza (1) i innych. Wcale ładny dorobek. Nazwiska niezłe. Widział jeszcze Kraków Sofoklesa (1), Moliera (2), Shawa (3), Marivaux (1), Corneilla (1), Gorkija (1), Priestleya (1), Chapuis Peyreta (1), Annoulha (1), Dickensa (1), Simonowa (1). Te nazwiska mówią same za siebie.

Tyle statystyki. Potrzebna jest ona do zrozumienia wielkiej roli jaką odgrywają teatry krakowskie w życiu kulturalnym Polski.

*

TEATR Miejski im. J. Słowackiego po ustąpieniu dyr. K. Frycza objął J. Osterwa. Jest to według nowej koncepcji scena, która ma za zadanie pokazać w pierwszym rzędzie wielki repertuar klasyczny. Jest to więc reprezentacyjna scena Krakowa. Kierownikiem literackim tego teatru jest Stefan Flukowski. Dyrektorem dwóch scen Starego Teatru (również miejskiego) został Wł. Woźniak. Obydwie sceny zostały poświęcone twórczości współczesnej, a szczególnie polskiemu autorowi dramatycznemu. Jest to dzisiaj jeden z najodważniejszych i najbardziej zasłużonych teatrów, który zresztą w opinii publiczności krakowskiej uchodzi za teatr najlepszy pod względem artystycznym. Stary Teatr bowiem znamionuje nie tylko ciekawy repertuar, ale wielką dbałość o wszystkie inne czynniki, które składają się na pełne artystyczne zjawisko sceniczne. Stefan Otwinowski jest kierownikiem literackim Starego Teatru. Przed objęciem tego teatru przez W. Woźniaka prowadzili go kolejno Jerzy Ronard Bujański i Andrzej Pronaszko, którzy swoimi osiągnięciami położyli trwałe fundamenty pod jego zasługi.

KAMERALNY teatr T. U. R. ma służyć nieco odmiennym celom, aniżeli pozostałe sceny Krakowa. Ma przede wszystkim być teatrem oświatowo-społecznym. Teatr Kameralny postanowił również dotrzeć do wszystkich prowincjonalnych miast i miasteczek województwa krakowskiego i stworzyć drugi zespół, który z każdą swoją premierą kręci się w terenie, odnosząc zasłużone sukcesy. Zespół objazdowy składa się z młodych aktorów pod kierownictwem M. Dulęby i J. Ciecierskiego. Teatr Kameralny pokazał wiele sztuk, przede wszystkim z repertuaru obcego. Nie gardził on również polską twórczością dramatyczną (Rozbitki, Pan Jowialski, prapremiera „Soczewica koło miele młyn" Flukowskiego). Dyrektorem teatru T. U. R. jest Emil Chaberski, kierownikiem literackim Helena Wielowieyska. Zasługą teatru Kameralnego jest to, że spełniał on w Krakowie rolę okna na świat, pokazując najwartościowsze sztuki zagranicznego repertuaru „Miasto w dolinie" Priestleya, „Szalona z Chaillot" Giraudoux. Teatr ten również dbając o poziom aktorski, zapraszał niejednokrotnie na występy największych polskich aktorów M. Ćwiklińską, J. Leszczyńskiego, M. Waltera i innych.

TEATR OBJAZDOWY T. U. R. „Świętoszek" Moliera. W roli tytułowej J. Ronard Bujański. Reżyser: J. R. Bujański

*

W ROKU ubiegłym w sali Domu Żołnierza prowadził swój teatr jeden z największych polskich aktorów Karol Adwentowicz, wystawiając w swym teatrze prapremierę „Dwóch teatrów" J. Szaniawskiego, gdzie grał rolę dyrektora. Niestety złe warunki finansowe nie pozwoliły temu zasłużonemu pracownikowi sceny polskiej kontynuować dalszej pracy.

*

JEDNYM z najciekawszych zjawisk jest bezsprzecznie Teatr Rapsodyczny pod kierownictwem M. Kotlarczyka. Teatr ten służy idei krzewienia słowa polskiego, biorąc na swój warsztat sceniczny wszystkie wartościowe teksty naszej wielkiej i klasycznej literatury. Wysoki poziom recytacyjny i ciekawe rozwiązania inscenizacyjne poematów tego rodzaju jak „Pan Tadeusz", „Konrad Wallenrod", — Grażyna, Mickiewicza, „Beniowski", „Król Duch" — Słowackiego, „Hymny" — Kasprowicza i innych, oraz montaż współczesnej poezji polskiej, opiewającej czyny żołnierza polskiego, pozwoliły temu rodzajowi twórczości scenicznej konkurować z pozostałymi teatrami krakowskimi.

*

KRAKÓW posiada w tej chwili dwa teatry dla młodzieży i dzieci. Teatr „Wesoła Gromadka" jest tym, w którym obok aktorów biorą udział również dzieci w wieku szkolnym (6—10 lat). Teatr ten dał kilka premier, które zostały przyjęte entuzjastycznie przez młodzież. M. Biliżanka, znana z przed wojny reżyserka i autorka — jest głównym inicjatorem tej sceny. A. Świrszczyńska zajmuje się stroną literacką teatru, nad którym opiekę roztoczyło R. T. P. D.

*

TEATR lalki i aktora „Groteska" zainicjowany przez W. Jaremę jest drugim teatrem dla dzieci. Obecnie teatr prowadzi doświadczony marionetkarz i kukiełkarz H. Ryl. Trzeba przyznać, że teatr ten może uchodzić dzisiaj z powodzeniem za reprezentacyjną scenę lalkową w Polsce zarówno pod względem technicznym jak i artystycznym. Przedstawienia „Złota Rybka" czy „Kolorowe Piosenki" były wydarzeniami, o których warto pamiętać.

*

POPULARNY repertuar w rodzaju „Krowoderskich Zuchów", „Królowej przedmieścia" gra Teatr Kolejarza. Wszystkie wodewille. komedie muzyczne, i sztuki ludowe cieszą się szerokim uznaniem wśród mieszkańców przedmieść. Kilka przedstawień, nad którymi opiekę roztoczył znany aktor T. Wesołowski z dużym powodzeniem uzupełniło lukę tzw. teatru dla mas (oczywiście nie w dzisiejszym tego słowa znaczeniu).

*

NIEDAWNO powstał w Krakowie nowy ośrodek teatralny młodzieży akademickiej. który pokazał otwierając swój sezon sztukę L. H. Morstina „Kopernik". Opiekunem tego teatru jest zasłużony działacz teatralny w Krakowie W. Dobrowolski. Teatr ten chce kontynuować założenia przedwojennego teatru akademickiego „Poltea".

*

DO niedawna Kraków posiadał trzy szkoły dramatyczne Starego Teatru i teatru Słowackiego. Szkolenie aktorów zapoczątkował pierwszy w Polsce właśnie w Starym Teatrze dyr. J. Ronard Bujański. Wielu z uczniów tej szkoły zbiera już dzisiaj laury na deskach scenicznych.

Studio Galla po dwuletnim pobycie w Krakowie przekształciło się w teatr na Wybrzeżu, który w krótkim czasie stał się nową atrakcją teatralną w Polsce. Trzecia szkoła dramatyczna, jedyna jaka dzisiaj istnieje — jest przy teatrze im. Słowackiego. Pod okiem specjalistów w tej dziedzinie dojrzewają talenty aktorskie, o których napewno już niedługo usłyszymy.

TEATR LALKI I AKTORA „GROTESKA" Scena ze „Złotej Rybki" E. Tarachowskiej. Dekoracje Adama Bunscha. Muzyka St. Kisielewskiego

*

W Krakowie również wychodzi obecnie najpoważniejsze pismo teatralne „Listy z Teatru" pod redakcją W. Natansona. Dwutygodnik ten przynosi artykuły ze wszystkich dziedzin życia teatralnego w Polsce oraz bogatą kronikę zagraniczną. Wspomnieć również należy o „Froncie teatralnym" wydawanym przez Ronarda Bujańskiego i „Afiszu Starego Teatru" za czasów dyrekcji A. Pronaszki.

*

KRAKÓW jest prawdziwie żywym miastem teatralnym. Wiele premier krakowskich odbiło się szerokim echem w całej Polsce. Publiczność krakowska docenia w pełni i popiera wysiłki artystyczne dyrekcji teatralnych, darzy ich zaufaniem. Kilka sztuk wystawionych na krakowskich scenach osiągnęło rekordowe ilości przedstawień, nigdy przedtym nienotowane w tym mieście, a nawet rzadko osiągane przed wojną w Warszawie. Wysoki poziom teatrów krakowskich jest najlepszym sprawdzianem żywotności tego miasta.

Tadeusz Kwiatkowski

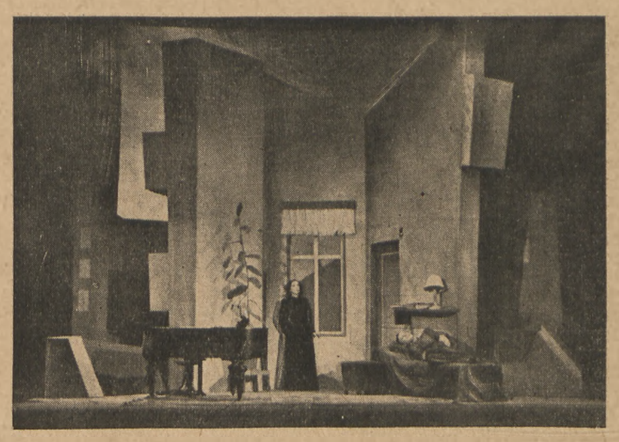

„STARY TEATR" W KRAKOWIE „Wielkanoc" St. Otwinowskiego. Reżyseria W. Woźnika. Ewa (Barbara Ludwiżanka) i Stanisław (Z. Mrożewski). Dekoracje: A. Stopka

W Zagłębiu Dąbrowskim coraz lepiej

Zagłębie Dąbrowskie, którego życie kulturalne zawsze niemal biło słabym tętnem, w każdym razie słabszym niż na sąsiednim Górnym Śląsku, w ostatnich miesiącach wyraźnie się pod tym względem ożywiło. Odbyta w dniu 1 marca w Dąbrowie Górniczej konferencja Wojewódzkiej Rady Kultury poświęcona zagadnieniom upowszechnienia kultury i potrzebom kulturalnym terenu zagłębiowskiego wskazuje na zainteresowanie czynników oficjalnych tą cząstką województwa górnośląskiego.

Poza pracą prowadzoną przez niektóre Domy Kultury i świetlice przy większych zakładach fabrycznych, pracą, która przyniosła już sporo poważniejszych niż gdzieindziej rezultatów, z silniejszą inicjatywą wystąpił tu Katowicki Oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich. W ramach współpracy ze Związkiem Zawodowym Metalowców członkowie ZZLP. wystąpili w ciągu grudnia ub. r. i stycznia br. z kilkunastu wieczorami literackimi w świetlicach przemysłu metalowego w Zagłębiu, spotykając się wszędzie z niezwykle serdecznym przyjęciem i żywą reakcją słuchaczy, tym cenniejszą, że były to poważne choć przystępnie ujęte wieczory poetyckie. Równocześnie ZZLP zorganizował kilka poranków literackich w szkołach średnich Zagłębia.

Wyjątkowo szczęśliwym pomysłem okazał się projekt powołania do życia w Sosnowcu Klubu Literackiego, pozostającego pod opieką i kierunkiem katowickiego Oddziału ZZLP. Klub ten zorganizowany w styczniu br. zdobył teren można śmiało powiedzieć wstępnym bojem, zyskując od pierwszego wieczoru odbytego w dniu 4. I. grono sympatyków i wytwarzając w Sosnowcu liczną i sympatyczną publiczność literacką. Dużą część tej publiczności tworzy obok inteligencji zawodowej młodzież szkół średnich, która nie tylko licznie uczęszcza na odbywające się co dwa tygodnie wieczory literackie, ale i korzysta z nich i przeprowadza na poruszane tam tematy w swoim gronie interesujące dyskusje. W dotychczasowych wieczorach Klubu wzięli udział: Gustaw Morcinek, Maria Kasprowiczowa, Wilhelm Szewczyk, Mieczysław Markowski, Tadeusz Staich, Aleksander Baumgardten, Wojciech Żukrowski, którzy wystąpili z wieczorami autorskimi lub prelekcjami. Wystarczy powiedzieć, że druga już z kolei sala na wieczory okazuje się za szczupła. Ostatnim wieczorem Klubu był debiut dwóch nieznanych dotychczas pisarek pochodzących z Zagłębia: Danuty Kucharskiej-Zarzyckiej i Marii Klimas-Błahutowej. Obydwie debiutantki zapowiadają się interesująco, pierwsza z nich jako nowelistka, druga jako powieściopisarka. Pierwsza powieść M. Klimas-Błahutowej ukaże się już w najbliższym czasie na półkach księgarskich nakł. „Ogniska".

Klub Literacki w Sosnowcu podjął jeszcze inną incjatywę, która ułatwiła Związkowi Literatów nawiązanie kontaktu z nowymi środowiskami. Za pośrednictwem Klubu zapoczątkowano udział literatów w miesięcznych konferencjach rejonowych nauczycielstwa szkół powszechnych w Zagłębiu. Na pierwszej tego rodzaju konferencji w Sosnowcu w dniu 16 bm. wystąpili z prelekcjami Gustaw Morcinek i Zdzisław Hierowski. Ponadto Klub sosnowiecki zorganizował stałe, odbywające się co dwa tygodnie wieczory literackie w pięknej świetlicy Biura Planowania Hutniczego w Zabrzu.

Najbliższymi gośćmi Klubu w Sosnowcu będą Jerzy Andrzejewski i Hanna Malewska.

Ten piękny start kulturalny Zagłębia Dąbrowskiego zasługuje na uwagę i uznanie. **(zh)**

Dwutygodnik

„Listy z teatru"

jest pismem informującym żywo o wszystkich ważnych wydarzeniach życia teatralnego w kraju i za granicą. Przynosi nadto teoretyczne rozważania na tematy teatralne pióra wybitnych polskich znawców teatru.

Bogato ilustrowane! Redaktor naczelny: Wojciech Natanson. Wychodzi w Krakowie. Żądajcie we wszystkich księgarniach!

Wśród czasopism

Miesięcznik dolnośląski ŚLĄSK, o którego losv zapytywałem w ostatnim przeglądzie czasopism, zamanifestował swoje istnienie wydaniem pierwszego w tym roku zeszytu z datą kwietniową. Redakcja przeskoczyła po prostu pierwszy kwartał i wydała nowy numer po trzymiesięcznej przerwie. Nie można by tu mieć o to pretensji, jeśli przerwa ta potrzebna była do przełamania trudności natury organizacyjno-technicznej, finansowych czy wreszcie redakcyjnych. Zobaczymy niedługo, czy przez nią uzyskało pismo możność regularnego ukazywania się. Na podstawie jednak wydanego już numeru możemy powiedzieć, że redakcyjnie przerwa ta nie wyszła „*Śląskowi*" na dobre. Pismo w ostatnich miesiącach ub. roku stawało się stopniowo coraz mniej interesujące, kostniało i obumierało. Omawiany zeszyt stanowi dalszy ciąg tego niepokojącego procesu. Miesięcznik ten zatraca charakter, balansuje zupełnie niepotrzebnie pomiędzy publicystyką a kierunkiem popularno - naukowym z przewagą zainteresowań kulturalnych, organizuje wywiady, którymi robi wyraźną konkurencję dziennikom, przy czym nie ulega wątpliwości, że każda gazeta dolnośląska ma w swoim dorobku już przynajmniej po kilka tego rodzaju wywiadów, jak drukowane w „Śląsku" na czołowym miejscu oświadczenia wojewody Piaskowskiego i gen. Popławskiego. Poza tym pismo zaczyna załatwiać prowincją. Niemal w samym środku numeru redakcja w dziesięciowierszowej notatce wyraża uroczyste podziękowanie placówce PKS we Wrocławiu i jej kierownikowi „za życzliwe ustosunkowanie się do jednego z naszych redaktorów" i za udzieloną „bezinteresowną pomoc". Czytelnika diabła obchodzą kłopoty komunikacyjne jednego z redaktorów, a z notatki tej wnioskuje zupełnie słusznie, że 1) życzliwe ustosunkowanie się funkcjonariuszy PKS do podróżujących jest czymś niesłychanie wyjątkowym, 2) że pomoc udzielana przez tych funkcjonariuszy pasażerom jest z zasady „interesowna". Prowincjonalność pisma podkreśla i uwydatnia jego kronika. Poza dwoma notatkami o zgonach dowiadujemy się z niej w dwóch wzmiankach, z których każda liczy ponad 30 wierszy, że redaktor pisma wygłosił odczyt w Jeleniej Górze oraz, że członek ZZLP Stan. Kaszvcki został przewodniczącym gminnej Rady Narodowej w Choinastach. Czytelnik traci nawet ochotę na pogratulowanie obvdwu panom sukcesów, bo go licho bierze na kręcenie się w kółko na własnym małym podwórku, podczas gdy w pobliżu, o 100 km dobrej już komunikacji tętni polskim życiem Wrocław, a o 60 km pracuje stutysięczny Wałbrzych, nie mówiąc o innych większych środowiskach, których na Dolnym Śląsku nie brak. A może się w nich pod względem kulturalnym nic ciekawego nie dzieje? To piszcie wobec tego, że się nie dzieje, że jest źle, i czego potrzeba, a nie kadźcie swoim przyjaciołom!

Treść kwietniowego zeszytu *Śląska* jest dosvć mizerna. Jedno z pierwszych miejsc zajmuje obszerny i drobiazgowy opis wyglądu i dzieiów pucharu jeleniogórskiego z r. 1361. którą to sprawę można by załatwić ze względu na jej „ważność" w znacznie krótszej notatce. Do zupełnie niepotrzebnych głupstw należy drugi z kolei artykuł. przytaczający „zapomniany polski opis Wrocławia" z r. 1836 wydrukowany w *Magazynie dla dzieci*. Przede wszystkim nie jest to polski opis, bo jak z komentarza do tego zbędnego przedruku wynika, stanowi on tłumaczenie z niemieckiej czytanki szkolnej i znalazł się w dodatku w serii opisów miast niemieckich bez podkreślenia w najmniejszym choćby stopniu polskiej przeszłości miasta, które w okresie, gdy opis ten drukowano, miało jeszcze wiele żywych elementów polskości. Pozbawiony jest również poważniejszej wartości nawet informacyjnej artykulik *Hieronima Feichta o muzyce na Śląsku*, załatwiający w kilkudziesięciu wierszach cały ten problem począwszy od średniowiecza a skończywszy na wrocławskim chórze zorganizowanym ostatnio przez ob. Bidzińskiego. *Prof. Tadeusz Mikulski* w cyklu „*spotkań wrocławskich*" pisze o wspólnym pobycie Kornela Ujejskiego i Wincentego Pola w Cieplicach i Wrocławiu w r. 1847. W cyklu „postacie śląskie" fragmentaryczne *sylwetki Piastów Ziembickich* daje *Anna Strzelecka*. Obszerny artykuł redakcyjny opracowany przez zestawienie nadesłanych materiałów informuje o szkołach wyższych na całym Śląsku. Informuje nieźle, powtarza jednak w niektórych wypadkach materiał już czytelnikom pisma znany. Najbardziej interesujący ze względu na materiał faktyczny, który zawiera, jest artykuł *Edwarda Kozikowskiego „O autochtonach na Dolnym Śląsku"*. Autor operuje wprawdzie tylko materiałem jeleniogórskim, znanym mu bezpośrednio, ale materiał ten jest niezwykle frapujący. Ilustruje on problemy, jakie miały do rozstrzygnięcia dolnośląskie komisje weryfikacyjne, które obok niewątpliwych Polaków choć często silnie zgermanizowanych miały do czynienia z próbami Niemców utrzymania się w Polsce przy swoich majątkach. Ten artykuł obok „spotkania" T. Mikulskiego to jedyna bardziej interesująca pozycja omawianego numeru *„Śląska"*. Pismo przechodzi wyraźny kryzys. A szkoda, bo nie wykorzystuje swoich możliwości i nie spełnia tym samym roli, jaka mogłaby być z nim związana. A redakcji nie obce są ambicje oddziaływania i na zagranicę, skoro dodała do tego zeszytu „english summary".

Nie grzeszący, podobnie jak *„Śląsk"*, regularnością w ukazywaniu się miesięcznik ŻYCIE SŁOWIAŃSKIE powrócił w nowym roku kalendarzowym i wydawniczym do równowagi. Ukazuje się od stycznia bież. roku nie tylko regularnie, ale niemal punktualnie, przynosząc jak zwykle cenny i dobrze zestawiony materiał z życia narodów słowiańskich i to zarówno w artykułach jak i w obszernej, usystematyzowanej i bogatej kronice. Regularnością wychodzenia likwiduje *Życie Słowiańskie* swoją wadę najważniejszą i staje się bez zastrzeżeń ogólniejszej natury pismem, które powinno być szeroko w Polsce czytane. Nasza znajomość Słowiańszczyzny pozostawia wiele do życzenia. To pismo pozwala z grubsza łatać te braki w szerokich kołach społeczeństwa.

Tygodnik WIEŚ przeszedł już dwa momenty przełomowe. Naprzód spod opieki „Czytelnika" przeszedł na razowy chleb Samopomocy Chłopskiej, stając się organem Zarządu Głównego tej organizacji, a teraz z kolei wziął rozbrat z Wiejskim Oddziałem Związku Zawodowego Literatów, który w oświadczeniu rozesłanym do całej prasy literackiej odżegnał się od współudziału redakcyjnego w wydawaniu pisma. Czas był najwyższy na taką decyzję i na podanie jej do publicznej wiadomości. *Wieś* już od dawna zwracała uwagę niezwykle niskim, czasem wprost żenującym poziomem literackim. Teraz przynajmniej wiemy, że nie możemy od niej tego poziomu wymagać, bo obecny niepodzielny już Król tego tygodnika ma inne cele na oku. *Wieś* przestaje więc być organem reprezentującym pisarzy polskich chłopskiego pochodzenia, staje się „popularnym" pismem dla ludu, obliczonym na słabsze zaawansowanie intelektualne czytelników. Takie pisma są też potrzebne, ale ten tygodnik miał inne założenia i ambicje. Mógł podjąć się próby reprezentowania wkładu inteligencji chłopskiej (przynajmniej jej części) w kulturę narodu, ale z roli tej zrezygnował i stał się tym samym wśród polskich czasopism literacko-społecznych pozycją mało ważną, a przy tym przykrą przez to, że ta „ludowość", jaką wyraża i propaguje, coś mocno trąci klasowością, stanowością itp. Takie smażenie się we własnym chłopskim sosie, nie przyniesie pożytku kulturalnego wsi polskiej.

Na zakończenie jestem winien czytelnikom jedną jeszcze informację o specyficznym posmaku, która opóźniła się z powodu zagubienia się gdzieś w szpargałach jednego z numerów wrocławskiego *Słowa Polskiego*. Otóż jak wynika z listu jednego z czytelników do redakcji tego dziennika, szanowne miasto Oleśnica, niegdyś stolica jednego z księstw piastowskich, ochrzciło jedną ze swych ulic imieniem *Jana Kiepury!* Słusznie redakcja prosi MRN. o wyszczególnienie zasług, jakie położył dla kraju b. obywatel polski Jan Kiepura, zasług, które kazałyby nazywać ulicę jego imieniem. A wieść niesie, że tak szlachetnie ochrzczonych ulic jest na Dolnym Śląsku więcej, co ma być rezultatem zagłębiowsko - dąbrowskiego patriotyzmu niektórych dygnitarzy municypalnych, związanych silnie z kultem „chłopaka ze Sosnowca". My ze swej strony zapytalibyśmy, czy Oleśnica ma ulicę imienia Jana Wieniawy - Elgota, jednego z najwybitniejszych mistrzów Akademii Krakowskiej w XV w., pochodzącego z Lgoty pod Oleśnicą, czy ma ulice „pastora Polaków" oleśnickich Jerzego Bocka, związanych studiami z Oleśnicą twórców polskiego piśmiennictwa na Śląsku cieszyńskim Jana Muthmana i Samuela Ludwika Zasadiusa. Przypuszczam, że nie. Kiepura jest bliższy i ważniejszy! (ki)

Magiczne zwierciadło

Magiczne zwierciadło, to takie, które odbija zupełnie inną rzeczywistość od tej, jaka się w nim przegląda. Takim magicznym a właściwie fałszywym zwierciadełkiem okazał się przegląd czasopism pana if. w nrze 6 „Nowin Literackich". Zarzucono tam „Odrze", że stwarza pozory specjalnej śląskiej kultury. Pytamy się pana if., w którym artykule była u nas o tym mowa. Będziemy mu wdzięczni za wskazanie nam takiego miejsca w „Odrze". Procent Ślązaków piszących w „Odrze" nie przekracza cyfry 2. O Śląsku i jego polskiej kulturze piszą przeważnie u nas profesorowie uniwersyteccy. Informujemy o polskim ruchu kulturalnym na Śląsku w przeszłości i teraźniejszości, wskazując tylko, jaki udział w tym ruchu mieli rdzenni Ślązacy. Jest to ważne i potrzebne, aby móc przeciwstawić się skutecznie rozmaitym argumentom zagranicznym o niemieckich tendencjach kulturalnych Ślązaków.

Dziwne, że trzeba to wszystko tłumaczyć panu if., którego skądinąd znamy jako człowieka prawdomównego i sprawiedliwego. „Perspektywa Odry" może mu się także nie podobać, ale nie dostrzeganie w niej najistotniejszych w tej chwili problemów polskiej myśli politycznej i kulturalnej bo dotyczących Ziem Odzyskanych, nie dostrzeganie ich przez pismo, które jako największą sensację numeru podaje „List do ferdydurkistów", to już nie kaprys zwierciadełka, lecz prosta nieuczciwość. Cóż, każdy nudzi swoich czytelników jak może, ale niechże przynajmniej nudzi ich problemami a nie bezmyślną autoreklamą wodza nieistniejącej grupy. *Paw.*

Prapremiera w Katowicach

„Arcydzieł nie ma, one dopiero później stają się arcydziełami".

Gdybym wierzył, że to dowcipne sformułowanie Anatola France'a będzie mogło usprawiedliwić sceniczny los **„Sióstr"** Krystyny Grzybowskiej, nie podjąłbym się zdawania sprawy z prapremiery tej sztuki, zostawiając sprawiedliwszą krytykę przyszłym historykom literatury. Ale tak, moim zdaniem, nie jest.

Dla pełniejszego uzasadnienia tych kilku nieobowiązujących uwag, chciałbym streścić krótko fabułę „Sióstr" ... i nie potrafię tego, niestety, uczynić. Weźmy dla przykładu postacie: Klarę, Stefcię i Antoniego. Cóż oni robią, co przeżywają te żyjące i działające istoty? Opowiadają o wypadkach rozgrywających się poza nimi. Mówią o Polsce, wolności, o rewolucji, o krzywdzie społecznej, o demokracji, o Edwardzie Dembowskim i wielu innych jeszcze, aktualnych i ważnych problemach. Ale tylko mówią. To samo zresztą czynią wszyscy inni: sąsiadka z I piętra, konfident Franz Müller i praczka i służąca sąsiadki i nawet mały dziesięcioletni Stasiek (!) — wiemy, że owej nocy czynił to cały Kraków. Dziwne, że tak wielkie wypadki nie kształtują indywidualnego oblicza bohaterów, że nie wnoszą nic w ich wartości psychiczne, że ludzie ci są od początku do końca tacy sami. Przepraszam — w końcu dowiadujemy się, że żona Antoniego była zakochana w Dembowskim, wskutek czego indywidualny charakter tej postaci zaciera się do reszty. Jakże więc opowiedzieć treść sztuki, gdy jej akcja rozgrywa się za sceną? Nawet Dembowski, ukazujący się na chwilę, nie wnosi nic w akcję. Cała ta sztuka mogła z równym powodzeniem rozegrać się w dialogu między np. Klarą i Antonim. Wszyscy inni są całkowicie zbędni, bo przecież wszyscy inni (sąsiadka, praczka, Stasiek, służąca, Müller) mają tworzyć tzw. koloryt lokalny i tło — a to można sobie wyobrazić.

Nie są więc „Siostry" czystym utworem dramatycznym, ale czymś pośrednim między zbeletryzowanym dramatem a ujętym w dialogii szkicem historycznym.

Krytyk — esteta, który uznałby realizację sceniczną tej sztuki jako pomyłkę, wychodząc z założenia, że nie jest ona w pełnym tego słowa znaczeniu utworem teatralnym (albo też jest sztuką zupełnie nieudaną), nie zastanawiałby się nawet nad jej walorami ideologicznymi. Postaram się tej omyłki nie popełnić.

Myślę, że „Siostry" stanowią jeden z nielicznych u nas przykładów tzw. zamówienia społecznego. Pisze się o tym od czasu do czasu, ostatnio coraz rzadziej, ponieważ nikt nie potrafił dotychczas „zamówienia społecznego" wykonać. „Stary dworek" A. Ważyka nie zadowolił, częściowo tylko spełnił swoje zadanie „Stary dzwon" J. Brzozy — to wszystko. Jedyną pozycją dość mocną, do której usiłuje zbliżyć się Grzybowska w „Siostrach", jest Wandy Wasilewskiej „Bartosz Głowacki". Ale trzeba pamiętać, że Wasilewska, mimo iż nie dała nowej konstrukcji artystycznej, potrafiła narzucić własną wizję, oryginalną koncepcję historii, swój odrębny język. Stworzyła „dzieło sztuki", o którego wartości można dyskutować, ale które trzeba uznać. Ja na prawdę nie mogę powiedzieć, że „Siostry" są „dziełem sztuki literackiej". Ponieważ jednak sztuka ta wyrasta z potrzeby naszych czasów, z potrzeby dzisiejszości (mimo, że temat zaczerpnięty jest z historii), uważam, że obojętne czy jest ona napisana na wzór przepisowego dramatu, czy też, jak określiłem poprzednio, stanowi jakiś pośredni gatunek historyczno-literacki. Chodzi o to, aby spełniła swoje zadania społeczne, żeby czegoś nauczyła, żeby zainteresowała masy. Boję się, że jest to daremna nadzieja, ponieważ „masy" nie odrzucają postulatów artystycznych, żądają ludzi prymitywnych może w swej konstrukcji, ale żywych. Dlatego i tę drugą, ideową stronę sztuki, jestem zmuszony związać z konstrukcją formalną i na oba nie postawione pytania odpowiadać negatywnie.

Realizacja „Sióstr" w Państwowym Teatrze Śląskim była debiutem reżyserskim **Tadeusza Surowy.** Jeśli powiem, że sztuka nie nadawała się do inscenizacji, to wyrażę tym samym ocenę jej scenicznej ekspresji. Mogła ona być co najwyżej odpowiednio wygłoszona. Niestety, za wyjątkiem **Antoniny Góreckiej** w roli Klary, inni wykonawcy nawet w ten sposób nie potrafili dopomóc autorce.

Nie wspominam już o dykcji, ale pamięciowe opanowanie roli jest chyba warunkiem, który winien być spełniony podczas prób sytuacyjnych.

Wnętrze **Stanisława Tenerowicza** nie jest, na szczęście, szczytem pomysłowości tego dobrego dekoratora.

Bogdan Butryńczuk

Rys. Stefan Balicki.

Dyr. Bronisław Dąbrowski odznaczony został niedawno orderem Polonia Restituta.

Wystawa Książki Zachodniej

W 9 największych miastach polskich odbyła się wystawa książki zachodniej. Był to przegląd piśmiennictwa na tematy zachodnie, morskie i stosunków polsko-niemieckich. Trzeba przyznać, że w ciągu dwu lat piśmiennictwo to pojawiło się w okazałej postaci. W okresie

międzywojennej niepodległości tyle chyba nie wydano u nas książek na tematy polsko-niemieckie np. ile w minionych dwu latach. Myśl polska z uporem stara się nadrobić zaniedbanie nauki, publicystyki, a nawet literatury pięknej w dziedzinie tematyki zachodnio-polskiej.

Wydany z okazji wystawy przez poznańskie Wydawnictwo Zachodnie katalog książki zachodniej wykazuje kilkaset pozycyj. Wierzymy, że w najbliższej przyszłości piśmiennictwo na tematy zachodnio-polskie i polsko-niemieckie wzrośnie do dalszych kilkuset pozycyj. W dziedzinie tej wielu jeszcze tematów nie tknęło pióro polskiego pisarza i publicysty. Jak wygrywamy wyścig gospodarczy o Ziemie Odzyskane, tak wygrać musimy także wyścig piśmienniczy. Wiemy, jak bogata jest literatura niemiecka na tematy tych ziem. Do dziś dnia zalega ona półki wszystkich poważnych bibliotek zagranicznych, stając się wciąż jeszcze jedynym źródłem informacji o ziemiach dzisiejszej zachodniej Polski. Wiemy doskonale, że niejeden problem, przedstawiony w niej fałszywie na niekorzyść Polski (choćby tylko sprawa liczebności polskiej ludności autochtonicznej kresów zachodnich) dziś jeszcze staje się argumentem w rękach polityków niemieckich na skutek braku odpowiedniej przeciwwagi w postaci polskiej literatury na te tematy.

Zadziwiająca jest tylko obojętność publiczności wobec takiej wystawy. Myślimy w tym wypadku głównie o Katowicach, gdzie wystawę książki zachodniej, trwającą tydzień, zwiedziło niewiele osób.

Paw.

Z życia muzycznego Śląska

W ubiegłym tygodniu odbyły się w Katowicach dwa recitale: *Witolda Zielonki i Bolesława Woytowicza.*

Witold Zielonka, baryton bohaterski, wystąpił po dłuższej przerwie w repertuarze, który dał doskonały przegląd jego możliwości. Pomijając szczegółową analizę programu — można stwierdzić, że Zielonka jest śpiewakiem na dobrą miarę. Niewątpliwie czuje się najlepiej w partiach dramatycznych. Tam, gdzie trzeba oddać siłę słowa w parze z dużym napięciem głosowym, tam gdzie trzeba sugerować słuchaczowi pewien tajemniczy nastrój — wszędzie tam Zielonka spełnia swoje zadanie z widoczną łatwością. Tak więc do jego mocnych pozycji zaliczymy *Credo Jagi z „Otella"* Verdiego, *„Taniec Śmierci"* Dymka, wreszcie *„Dwaj Grenadierzy"* Schumanna. Słabszą natomiast, o wiele słabszą pozycję stanowią partie liryczne, które wyraźnie są przeciwne naturze tego śpiewaka. Do takich bezwzględnie ujemnych pozycji zaliczę przede wszystkim Giordanego *monolog Andrea Chenier*. Dykcja na ogół dobra. Piana dobre. Najgęściej i pełnowartościowo brzmi średnica — dół dobry w mezzoforte — góra niestety słaba. W forte dźwięki wychodzą zduszone, zdławione — czuć wysiłek. Rezultatem tego jest nagłe zrywanie wraz z ostatnim zapasem powietrza. Te drobne usterki, które sądzę Zielonka przy dalszej pracy pokona — nie zacierają przyjemnego wrażenia wieczoru.

Bolesław Woytowicz wystąpił tym razem z czterema najpopularniejszymi sonatami Beethovena: *Patetyczną, Księżycową, Waldsteinowską i Apassjonatą*. Beethoven historycznie rzecz biorąc był jeszcze klasykiem wiedeńskim — biorąc zaś faktycznie miał w sobie wiele cech nadchodzącego romantyzmu. W tym sensie można go niekiedy traktować jako prekursora nawej epoki. Sądzę, że tym się właśnie kierował Woytowicz w swojej interpretacji sonat beethovenowskich. Najlepiej wyszła Apassjonata — dużo natomiast mam zastrzeżeń co do wykonania Waldsteinowskiej, której brak było wyraźnej konstrukcji i siły pochodzącej właśnie z żelaznej konsekwencji zachowania niezmiennego rytmu i tempa. Całość jednak wypadła ciekawie, choćby z tego względu, że była w swoim ujęciu niecodzienna. Doskonała, wypracowana technika i staranne pedalizowanie wybijały się tu na pierwszy plan.

Ryszard Bukowski

Ruch wydawniczy

POWIEŚĆ

Kazimierz Rosinkiewicz: IHAK MĄDRY OSIOŁ. Ilustracje Eberhard Szymańskiej. „Ognisko", Spółdz. Księg. Katowice 1946. Stron 152.

Kazimierz Rosinkiewicz: SZARA BRAĆ. Okładka i ilustr. Kazimiera Słocka. „Ognisko", Spółdz. Księg. Katowice 1946. Stron 141.

Obie powieści znanego autora „Hultaja" przeznaczone są dla młodzieży. Poza interesującą fabułą odznaczają się one wielką wartością dydaktyczną, zwłaszcza jeśli chodzi o stosunek młodzieży do zwierząt. W pierwszej występuje miłośnik zwierząt, pokazujący, jak należy się porozumiewać z czworonożnymi i skrzydlatymi przyjaciółmi, w drugiej w sposób interesujący przedstawiono życie pszczół i sprawy bartnictwa.

Józef Bieniasz: LAWINA IDZIE. Powieść sportowo - turystyczna. 8 całostronicowych fotografii inż. Tylskiego z życia górskiego Gebethner i Wolff 1947. Stron 177. Karton.

Dobra powieść narciarska, której akcja dzieje się we wschodniej części Karpat.

Zofia Szymanowska: ZWYCIĘSTWO. Uniwersum. Katowice 1946. Stron 332.

Powieść ta ukazała się w dwa tygodnie po śmierci autorki, najmłodszej siostry Karola Szymanowskiego. Również i ta jej ostatnia książka (rzecz o Hermelinie, który był „najlepszym muzykiem wśród chirurgów") napisana jest inteligentnie i żywo.

Alfred Bronowski: NIE CZEKAJ NA MNIE. Powieść współczesna. Awir. Katowice 1947. Stron 215.

Dalsza powieść katowickiego romansoroba o żadnej wartości artystycznej i nikłej rozrywkowej

Juliusz German: DZIWOŻONA. Powieść o Zygmuncie Auguście i Barbarze Radziwiłłównie. Awir, Katowice 1947. Stron 303.

Rzecz interesująca, zawierająca mnóstwo ciekawych szczegółów historycznych. Niestety liczne wtręty o posmaku pornograficznym nie pozwalają książki tej oddać w ręce młodzieży.

Michał Rusinek: ZIEMIA MIODEM PŁYNĄCA. Wydawn. E. Kuthana, Warszawa 1947. Stron 309. Wyd. II.

Książka stanowi ideowy dalszy ciąg „Plutonu z dzikiej łąki". Posiada wszystkie walory pióra Rusinka i nadspodziewanie aktualną tematykę. Winna się znaleźć we wszystkich bibliotekach publicznych.

NAUKA I KULTURA

Aleksander Brückner: DZIEJE KULTURY POLSKIEJ. Tom czwarty. Do druku przygotowali prof. Stan. Kot i dr Jan Hulewicz. Przedmowa prof. Stan. Łempickiego. Wydawn. F. Pieczątkowski i Ska. Kraków 1946. Stron 639. Ppł.

Ukazanie się tej książki jest wielkim wydarzeniem kulturalnym. Odżywa pamięć wielkiego uczonego, który w swych „Dziejach" dał nam wspaniały obraz życia i rozwoju kultury polskiej, dziś może nie we wszystkim odpowiadający wymogom naukowym, ale niemniej jedyny. Wydanie tego brakującego do całości tomu dobrze świadczy o wydawcy.

LISTA STRAT KULTURY POLSKIEJ (1. 9. 1939 — 1. 3. 1946). Zestawił Bolesław Olszewicz. Wydawnictwo S. Arcta, Warszawa 1947. Stron 336.

Tragiczny wykaz 4400 nazwisk, oskarżający Niemcy. Książka powinna się znaleźć na biurku każdego pracownika kultury a także w bibliotekach i czytelniach publicznych. Jest to najwłaściwszy pomnik wystawiony ofiarom, pozbawiony patosu, ale za to o wielkiej wartości rzeczowej i dokumentalnej.

UNIWERSYTETY LUDOWE W POLSCE. Sprawozdanie z Pierwszego Walnego Zgromadzenia Członków T. U. L. R. P. w Pabianicach 11, 12 i 13 października 1945. Warszawa 1946. Stron 244.

Obrady pod względem ideowym wyglądałyby dziś niewątpliwie bardziej tolerancyjnie. Dlaczego p. Stefan Ignar tak nienawidzi Kościoła katolickiego? Cenna jest dołączona do książki bibliografia Uniwers. Lud. za czas od 1902 do 1946 w oprac. Józefy Słomczewskiej, choć wykaz przejrzanych czasopism należało bezwzględnie uzupełnić.

Stanisław Furmanik: PODSTAWY WERSYFIKACJI POLSKIEJ. Wydawn. E. Kuthana, Warszawa 1947. Stron 323.

Zagadnienia językowych czynników wierszotwórczych, metryki ogólnej i szczegółowej, pojęcia rymu i strofiki. Bibliografia. Nieodzowna studentom polonistyki, aktorom i recytatorom, pracującym na polu literatury naukowo i artystycznie; zainteresuje także inteligentniejszych konsumentów poezji.

Dr Mieczysław Tobiasz: WOJCIECH KORFANTY. Odrodzenie narodowe i polityczne Śląska. „Ognisko", Spółdz. Księg. Katowice 1947. Stron 238.

Pierwsza większa praca o Korfantym. Przez nakreślenie zbyt szerokiego tła, ujawniającego brak dyscypliny u autora, postać tego trybuna ludu śląskiego wychodzi dość fragmentarycznie. Książka nie ma charakteru odkrywczego. Dobrze spełni rolę popularyzatorską. Okładka tandetna.

HORST LOMMER

Z pisma „Die Weltbuehne"

Schicklgruber przed sądem

Komedia prawnicza w jednym akcie czyli satyra na niemiecką denazyfikację

Osoby:

Przewodniczący dr dr Braunherz
Obrońca dr dr h. c. Nazus
Oskarżony Adolf Schicklgruber.

Przewodniczący: Oskarżony, miliony pańskich ofiar obwiniają pana o rozliczne mordy i mnóstwo innych zbrodni, jakich dopuścił się pan pod przybranym nazwiskiem „Hitler". Czy przyznaje się pan do winy? Proszę mówić szczerą prawdę.

Schicklgruber: Jestem niewinny. Słowo „prawda" nie istnieje dla mnie.

Przewodniczący: Ale pańskie zbrodnie zostały przed całym światem udowodnione. Dlatego prokurator zażądał niestety kary śmierci. Co zatem zrobimy?

Obrońca: Proszę o pozwolenie zadania kilku pytań mojemu klientowi.

Przewodniczący: Dr Nazus ma głos.

Obrońca: Pańskie zbrodnie, panie Schicklgruber, są niestety oczywiste. Ale czy nie wydał pan może ustawy o amnestii dla siebie samego i dla wszystkich swych wspólników, dzięki której pan i na zwolennicy znajdą ochronę przed karą za wszystkie podczas pańskiego panowania popełnione zbrodnie? Niech pan dobrze pomyśli, kochany panie Schicklgruber.

Schicklgruber: Oczywiście wydałem tego rodzaju ustawę o amnestii dla siebie i dla swych poplecznków. Wszystko obliczyłem z góry.

Obrońca: Doskonale, mój drogi!

Przewodniczący: Bardzo dobrze, oskarżony!

Obrońca: Pozwoli pan na jedno pytanie. panie Schicklgruber. Kiedy i gdzie wydał pan ustawę o amnestii?

Schicklgruber: Jak zawsze, we właściwej chwili. 30 kwietnia 1945 roku w oblężonej kancelarii. Skoro tylko spostrzegłem, że wszystko było lipą, powziąłem postanowienie uchylenia się po wszystkie czasy od przypuszczalnych następstw moich zbrodni na drodze legalnej, mianowicie przez wydanie jedynej w historii „Ustawy o powszechnej amnestii dla ochrony mordu i zabójstwa". Dzięki temu spełnił się sen wszystkich starych wojaków. Od führera aż do ostatniego kata obozu koncentracyjnego nie można nikogo więcej skarżyć o jakąś zbrodnię przeciwko tak zwanemu człowieczeństwu. Sieg heil!

Obrońca: Wbrew niepojętemu i z wszelkiej sprawiedliwości szydzącemu żądaniu pana prokuratora, który na skutek niezrozumienia jednoznacznej, formalnie uczciwej sytuacji sądził, że musi dla mego klienta żądać kary śmierci, jako obrońca proszę o wyrok uniewinniający, a to na mocy reskryptu „Ustawy o amnestii dla ochrony mordu i zabójstwa" z 30 kwietnia 45, ustęp II, A, 1—4, l. 8 i nast., dot. „Niekaralność wszelkiego rodzaju zbrodni Führera".

Przewodniczący: Sąd udaje się na naradę.

Schicklgruber: Mój drogi doktorze h. c. Nazus! Teraz okaże się, czy dwanaście lat szkoły, jaką dałem niemieckiemu stanowi sędziowskiemu, było daremne czy nie.

Obrońca: Mój führerze, pomiędzy nami mówiąc, nie może być mowy o niepowodzeniu. Mam jeszcze wiele innych argumentów. Mógłbym z łatwością dowieść sędziom, że był pan zawsze człowiekiem apolitycznym i że nie mógł pan znać ważności własnego postępowania. Jest przecież rzeczą pewną, że cały naród niemiecki sam pędził we własne nieszczęście. Ponieważ był pan Niemcem, pędził pan razem z nim. Jest pan typowym przykładem na to. Formalnie musiałby pan dawno zostać zdenazyfikowany, mój führerze! Ale sprawa z ustawą o amnestii jest naturalnie o wiele skuteczniejsza.

Schicklgruber (przytłumionym głosem): Cicho, idą.

Przewodniczący: W imieniu narodu niemieckiego! Oskarżony Schicklgruber zostaje uniewinniony, podpada bowiem pod własną ustawę o amnestii. Koszta przewodu sądowego ponosi podatkujący. Oskarżony, czy przyjmuje pan wyrok?

Schicklgruber: Wyrok przyjmuję i dziękuję panom w imieniu wszystkich zbrodniarzy wojennych naszego ruchu.

Przewodniczący: Nie ma za co dziękować, führerze. Prawnie nie mogłem wcale inaczej sprawy rozstrzygnąć. Ustawa jest ustawą!

Obrońca: Amnestia jest amnestią.

Przewodniczący: Prawo formalne ma pierwszeństwo przed prawem ludzkim!

Obrońca: Führerze, gratuluję!

Schicklgruber: Niech pan lepiej pogratuluje narodowi niemieckiemu, że takich ma sędziów.

(Zasłona)

Spolszczył **A. Wid.**

Krótkie spięcia

Obce wyrazy po kilka razy

Z obcymi wyrazami jest ciągle u nas trochę nietęgo. Nie mówimy już o prasie codziennej, gdzie z jednej strony niechlujstwo tekstów, a z drugiej nieudolność korektorów, niestety, powodują, że czytanie niejednej gazety staje się prawdziwą torturą, — ale mówimy o tygodnikach, gdzie bądź co bądź te rzeczy mimo wszystko powinne być robione staranniej.

Tymczasem okazuje się, że wcale tak nie jest i tygodniki w niczym pod tym względem nie ustępują prasie codziennej. Np. w jednym z ostatnich numerów „Przekroju" artykuł Jerzego Zagórskiego pt. „Jak to jest z tą zgnilizną?" zajmuje się sprawami wybitnie francuskimi. Jasną jest więc rzeczą, że z tego tytułu powinno się było zwrócić specjalną uwagę na wszystkie wyrażenia czy nazwy francuskie, aby przypadkiem z tego nie powyłaziły jakieś gaffy. Ale cóż — właśnie gaffy powyłaziły i to naprawdę przykre gaffy.

Spotykamy więc tam, dajmy na to, takie zdanie: „Benda twierdzi, że Mallarmee, Gidee ..." Potem następują inne nazwiska pisarzy francuskich już pisane poprawnie, ale dlaczego Mallarmé i Gide mają mieć drugie „e" na końcu swego nazwiska, zupełnie niewiadomo.

Dalej zamiast „Folies Bergère" — jest „Folly Bergeres", aczkolwiek pisownia tej nazwy powinna być dobrze znana, a wreszcie mówi się o wystawieniu w Paryżu „Kartaginczyków" Plauta, pomimo że nazwa tej sztuki brzmi „Kartaginczyk" (w tekście francuskim „Le Carthaginois").

W „Kuźnicy" tak samo z tą literą „e" w wyrazach francuskich są pewne nieporozumienia. We wstępie Jana Kotta do „Lalki" Prusa przytacza się tytuł dzieła Bergsona, gdzie używa się słowa „les donnée", chociaż to nie ma sensu, gdyż powinno być „les données", a nazwisko znanego krytyka Brunetière pisze się „Brunettere".

Może ktoś powie, że są to drobiazgi, ale w piśmie literackim to nie są żadne drobiazgi, tylko coś, co czeka na ośle uszy.

W „Nowinach Literackich" natrafiamy natomiast na oryginalne tłumaczenie słów „Marsylianki" — „Contre nous de la tyrannie l'etendard sanglant s'est levé".

Słowa te tłumaczy się tam w ten sposób: „Przeciwko nam tyrania. W górę wznosi się skrwawiony sztandar", co rzecz jasna jest idiotyzmem, gdyż chodzi tu o zdanie: „Przeciwko nam wzniósł się krwawy sztandar tyranii".

Poza tym jeszcze wypada zaznaczyć, że w „Odrodzeniu", i to w dziale „Camera Obscura", znajdujemy w tekście wykpiwającym (w tym wypadku „Gazetę Ludową"), zdanie: „Dwa tysiące lat temu w Małej Azji, zachodnia etyka!".

Chodzi właśnie o tę „Małą Azję". W polskiej nomenklaturze geograficznej nie ma „Małej Azji", jest tylko zawsze i wszędzie — Azja Mniejsza. A to dlatego, ponieważ już Rzymianie nazywali owe terytorium „Asia Minor", co przeszło zresztą do wielu języków (np. we francuskim „Asie Mineure"), z wyjątkiem, jak zwykle niemieckiego, gdzie istnieje „Kleinasien". No i tak czasami bywa, że z tej „Kleinasien" domorośli znawcy geografii robią „Małą Azję", co jednak powinno być przy każdej okazji energicznie tępione.

Oto więc mamy taki króciutki przegląd naszej prasy periodycznej, z którego wynika, że z obcymi wyrazami trzeba obchodzić się bardzo ostrożnie.

NIEJAKI X.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. — Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 30146